Nr. 24 (1534). Warszawa, 11 czerwca 1910 r. **Rok XXX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

W okresie reform.

Trzy lata temu z trybuny dumskiej p. Stołypin głośno obwieszczał urbi et orbi, naprzód uspokojenie, potym reformy, reformy mające odnowić Rosję, przeobrazić jej oblicze, uszczęśliwić znękaną ludność.

Trzy lata minęły, uspokojenie tak upragnione przez sfery decydujące nastąpiło... i biurokracja daje obiecane reformy: wyodrębnienie Chełmszczyzny, nacjonalistyczne ziemstwa w Litwie i Białej Rusi i zniesienie konstytucji Finlandzkiej.

Zatamowana wypadkami 1905 roku energja nacjonalistyczna pręży się w sobie, skupia by wytrysnąć z wielką mocą w kierunku najmniejszego oporu i rozpocząć walkę ze wszystkim, co nie da się pogodzić z tendencjami biurokratyczno - nacjonalistycznej Rosji, — walkę zwycięzców ze wszelkimi odrębnościami plemiennymi i lokalnymi ku spotęgowaniu stopienia narodów podbitych w jedną narodową całość.

Pewność sfer stojących u steru polityki państwowej co do i celowości środków przedsiębranych jest tak wielka, że w tempie niepraktykowanym dotychczas pragną zdecydować najbardziej skomplikowane zagadnienie wzajemnego stosunku Finlandji i Cesarstwa i postawić kropkę nad stuletnią konstytucją.

Już od lat kilkunastu publicystom z obozu nacjonalistycznego rosyjskiego nie dawała pokoju myśl, że tuż pod stolicą autokratycznego mocarstwa leży kraina, znajdująca się pod berłem rosyjskim a korzystająca z dobroczynnych skutków konstytucji, że istnieje kraj, gdzie ludność rośnie w zamożność oświatę, gdzie panuje ład i porządek społeczny. I rozpoczęła się naganka nacjonalistyczna w imię ciasno pojętych interesów państwowych dążąca do zabicia twórczej energji w ludzie tamecznym i przetworzenia ogólnej fizjonomji kraju w jakąś gub. Ołoniecką. Do 1899 roku Finlandja była ideałem legalizmu — ociężały i rozsądny Finn z samej natury swego charakteru i umysłu nie bardzo jest skłonnym do szybkich przewrotów i związanych z tym kryzysów ekonomicznych. I nie bacząc na ściśle realną politykę, Finlandja traciła swe prawa autonomiczne i swe uprzywilejowane stanowisko. Nie było tam powstań, nie było marzeń o samodzielności państwowej, nie było idej separatystycznych, pomimo tego od roku 1899 spadał na Finlandję grom po gromie, niszcząc podstawy jej ustroju. Rosyjscy publicyści tłumaczyli nam, że polityka represji stosowana względem Polaków jest następstwem powstań i buntów — w Finlandji jednak wszakże nietylko powstań nie było ale Finlandczycy brali bodaj czynny udział w tłumieniu powstania 63 r.

Nacjonalistyczna rosyjska polityka wewnętrzna przyjmuje za czynniki rozkładu to, co stanowi gdzieindziej czynnik zjednoczenia i zkonsolidowania. Nacjonaliści rosyjscy nie chcą widzieć tego że zapobiegliwa polityka mająca na celu przyszłość i dobrobyt państwa powinna była w interesie Rosji stać na straży ustroju politycznego i samodzielności Finlandji, które, jak wykazała praktyka, dały tak dodatnie wyniki, podnosząc ogólną kulturę kraju i tworząc dobrobyt mas. Ślepi są na to, że interesy Rosji ponoszą porażkę, gdy nad Finlandją zacięży ręka ludzi czerpiących swą energję w ślepej wierze w zbawienność centralizmu, w osobistej ambicji i zawiści ku cudzym kulturalnym zdobyczom. Siły państwowe wyczerpnją się zamiast na pracę twórczą na walkę szkodliwą dla państwa zarówno w wypadku zwycięstwa jak i klęski, wytwarzając irredentę i przygotowując pole dla daleko idących następstw.

Polityka ucisku lojalnej ludności jest zawsze polityką na krótką metę, gdyż podkopuje wiarę w drogi legalne w najbardziej lojalnie usposobionej ludności.

Słusznie zaznaczył w swej mowie bardzo blizko kierunku ugodowego stojący członek Koła polskiego p. Żukowski, że projekt zniesienia konstytucji finlandzkiej stawia w całej nagości kwestję zasadniczą:

„Istnieje-ż wogóle, przy dzisiejszym kursie rządu i większości Dumy, możność dla narodów nierosyjskich ochrony drogą legalną swej indywidualności narodowej w państwie rosyjskim? A więc z drugiej strony zgadza-ż się przywiązanie do państwowości rosyjskiej z przywiązaniem do narodowości?... Projekt wstrząsa gruntem politycznym pod nogami tych działaczów, którzy, za podwalinę swego programu wziąwszy stosunek lojalny do państwowości rosyjskiej, tym niemniej spodziewają się, że drogą usiłowań prawnych, długą pracą będą mogli zdobyć dla swego narodu *minimum* praw narodowych.”

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jak gdyby nie z dworu, jeno z oficyny!

Niewątpliwa, że takim zwrotem, zaczerpiętym ze słownika naszej „demokracji” staroszlacheckiej, określiliby zachowanie się Roosevelta statyści europejscy, przyzwyczajeni do cedzenia słówek, wychowani w zasadach Savoir-vivre'u dyplomatycznego, a nadewszystko wiedzący, iż nie nadaremnie istnieją tacy co rządzą i ci, którzy są rządzeni i że rządzących obowiązuje etykieta.

Roosevelt-Barnum przybył do Starej części świata i jak komiwojażer pospolity wałęsa się z miasta do miasta, a jak linoskok lubuje się w występach: tu musi nieproszony wetknąć swój nos, tam powiedzieć rzecz, o którą go bynajmniej nie proszono. Kuma się nietylko z towarzystwem przyzwoitym, ale także i mniej przyzwoitym. Wprawdzie nie stanął w poprzek ani jednej zasadzie, na której cały „ład społeczny” i „postęp cywilizacji” spoczywają, nie wygłosił herezji, od którejby choć cokolwiek marzycielstwa dolatywało. Ale... ale tak jest pospolity... on, prezydent przecież potężnej Rzplitej zamorskiej, bodaj mniej wykazuje godności, niż prosty Schutzmann berliński, na posterunku ulicznym spełniający obowiązki rządów!

I świeżo nabroił w Londynie.

Ze stanowiska naszego urągał on poczuciu sprawiedliwości międzynarodowej, ale ze stanowiska widnokręgów innych — jeno popełnił grzech nietaktu i pospolitości.

Naszym zdaniem dziko brzmią wywody tego świeżo upieczonego honorowego obywatela londyńskiego, gdy w podziękowaniu za zaszczyt otrzymany wdał się w ocenę polityki angielskiej w Egipcie i oświadczył, iż Anglicy w stosunku do tego wyzyskiwanego kraju pielęgnują zanadto wiele względności i sentymentalizmu. Albo — albo. A więc albo niechaj opuszczą obszary nad Nilem, — albo niech godnie niosą w ręku swoim sztandar cywilizacji. Zasady cywilizacji zaś wymagają, ażeby trzymano egipcjan, którzy są niezdolni do uporządkowania stosunków rodzimych, w dobrych karbach. Anglicy grzeszą nadmiarem uprzejmości. Ktoś musi rządzić nad Nilem, a ponieważ zdarzeniem losu rzecz ta przypadła Anglji, niechaj więc rządzi jak przystoi panom. Point de reveries, messieurs!

Ale bodaj to stanowisko podoba się — chcieliśmy powiedzieć Anglikom, ale spostrzegłszy się, iż wyrządzilibyśmy niejednemu z nich krzywdę, poprawiamy się i powiadamy: przedstawicielom warstw, dla których utrwalenie rynku jest alfą i omegą całej polityki, wyzysk zaś — prawem przyrody czy zrządzeniem mądrym Opatrzności. Nie przypadła im do gustu inna okoliczność: szczerość Roosevelta-Barnuma i wtrącanie się do rzeczy nieswoich. Prezydent-komiwojażer dał ujście, wprawdzie brutalnie pojętej, ale przecież zasadzie: człowiekiem jestem, i co ludzi obchodzi, nie może mi być obcym. Ale oni to człowieczeństwo rozkawałkowali na moc całą kurników, a nad całością wznieśli mur konwencjonalizmów. Jeden z organów urzędowych angielskich daje mu za to naukę. „Niepodobna Roosevelta z kimkolwiek porównywać. Jego mowa była niezmiernie interesująca i znamienna, ale urągała wszelkiej przyjętej przyzwoitości i zwyczajom międzynarodowym. Miasto Londyn ofiarowało mu zaszczyt najwyższy, jaki ofiarować zdołało, Roosevelt zaś korzysta ze sposobności, ażeby palnąć rządowi angielskiemu reprymandę z powodu jego błędów w polityce egipskiej. Ale takim jest już Roosevelt i trzeba pogodzić się z jego dobrą wolą!...”

Zaznaczono przecież, iż mimo nietaktu prezydent wygłosił wiele rzeczy mądrych. A pomiędzy temi perłami mądrości w pierwszym rzędzie znajduje się zasada twardej ręki. Tak, twardej, nieubłaganej ręki robigrosza, który pod maską krzewiciela cywilizacji urąga wszelkiemu dorobkowi cywilizacji. Istnieje przecież jeden szkopuł: od czasów wojny japońskiej wiele się zmieniło w Egiptach, Persjach, Indjach i jakichś innych dzielnicach, stworzonych po to, ażeby cywilizacja wdrażała je w tory sfornego posłuszeństwa. Przytłoczone przewagą cywilizacji technicznej, pokonane pociskami iglicówek, kartaczownic i innych środków tłumnego a prędkiego rozprawiania się z rzeszą niesforną, obciążone haraczem składanym na ołtarzu Molocha kapitalizmu, ludy żółtolice, śniade i o wszelkiej innej niecywilizowanej barwie twarzy zwątpiły o sobie. Opatrzność sama chciała, aby były w chórze narodów tym, czym są sowy pomiędzy orłami. Całą tę filozofję pokory podważył Japończyk. Niby iskra elektryczna wstrząsnęła te ludy: i *my* możemy zwyciężać!

Rozpoczyna się z jednej strony zaopatrywanie się w rynsztunek polityczny, wojskowy, techniczny cywilizacji europejskiej, która tyle przyczyniła się do potęgi japońskiej — Persja, Turcja, Chiny wprowadzają lub krzątają się nad wprowadzeniem tego dorobku, z drugiej zaś potężnieją prądy niezależności w Indjach, Egipcie, tej samej natury, co ruch narodowościowy w Europie wieku dziewiętnastego. Okres gwałtów dawnych mija. Anglja, — i właśnie to państwo opiera potęgę swoją głównie na władaniu olbrzymimi obszarami egzotycznymi, — Anglja musi to wziąć pod rachubę i nawet dokonała oddawna tego, przynajmniej częściowo. Jej „delikatność” w Egipcie, przeciw której sarkał Roosevelt, wypływa z dobrego wyrachowania.

Wogóle Anglja przoduje, gdy chodzi o stosunek bardziej ludzki względem zwyciężonych.

D. 31 maja odbyła się uroczystość, która o tym świadczy.

W tym dniu ogłoszono powstanie nowej Unji: federacji południowo-afrykańskiej, złożonej z krajów dotychczas autonomicznych — Kaplanda, Natalu, Transwaalu i dawnej Rzeczypospolitej orańskiej. Na czele ministerjum stanął nie kto inny, jeno gienerał Botha, ten nieugięty bojownik boerski. Przed laty dziesięciu wróg nieubłagany imperjalizmu angielskiego, dzisiaj rzecznik tego samego imperjalizmu! I tak samo rzecznikami tej zasady są jego współrodacy, Boerowie. Innymi słowy, zachowując swoje zwyczaje, znaleźli sposób współżycia ze swymi przeciwnikami, trwały, oparty na interesie wzajemnym i zaspokojeniu upodobań.

Zdarzenie to jaskrawo odskakuje od tych wzo-

rów, które nasza Europa codziennie stawia nam przed oczy. A przecież w postępowaniu Anglji nie jest to zdarzenie odosobnione. Mamy tutaj raczej sprawę z zasadą, — zasadą *nową*.

Zasadę tę podyktowało rządowi angielskiemu zrozumienie dobre własnego interesu.

Pod wpływem rozwoju ekonomicznego Niemiec Anglja musiała rozstać się z dawnym swym „odosobnieniem wspaniałym". W pierwszej chwili szukała wyjścia w haśle imperjalizmu. Hasło to pozostało w formie nieco zmienionej — w dążeniu, że użyjemy takiego wyrażenia, do federacji obszarów wielkobrytańskich, rozproszonych na całej ziemi. Federacji, bo w Anglji zrozumiano, iż nastały inne czasy i wymagają innych środków. Stąd płynie ów jej sentymentalizm, który zagraża jedynie Niemcom i Stanom Zjednoczonym w ich gorączce rynkowej, bo wzmacnia i spaja rozpierzchłe członki W. Brytanji.

Stąd także płynie konieczność poszukiwania sprzymierzeńców i obezwładnienia na tej drodze Niemiec. A okoliczność ta przysporzyła znaczenie władzy królewskiej w Anglji: monarcha znalazł w ustawie konstytucyjnej tego państwa możliwość roli czynnej — zawiązywania stosunków dyplomatycznych. Nie talenty Edwarda VII wydobyły Anglję z wspaniałego odosobnienia, jeno położenie zmienione znalazło w nim narzędzie uzdolnione do podjęcia nowych zadań. Za pomocą Unji osobistej utrzymać dalekie kolonje i kraje w jedności, a zarazem zaszachować przeciwników na drodze przymierzy — oto program, wysnuwany przez kształtowanie się obecne współzawodnictwa na rynku. Dopóki Anglja mogła była pozostawać w odosobnieniu, rządzić zaś Indjami i Egiptem według wzorów dawnych, monarcha był jedynie ornamentacją gmachu państwowego; odkiedy wzrost kapitalizmu w Niemczech i Stanach Zjednoczonych jął zagrażać potędze wielkobrytańskiej na rynku, król wychodzi z ukrycia i rozpoczyna rolę czynną — wiązania osobą swoją krajów i kolonji, oraz zabezpieczania rynków ne drodze sojuszów politycznych.

Asymilacja żydów i jej perspektywy.

II.

Istnienie stałych i silnych tendencji w kierunku coraz większej asymilacji żydów jest rzeczą nie ulegającą żadnej wątpliwości. Równie jednak pewnym jest, że społeczny organizm żydów, ich cała struktura psychiczna stawia tym, podmywającym je falom europejskości niebywale silny i trwały opór. Skąd się ten opór bierze, z jakiego materjału ukuta została zbroja, broniąca ducha żydowskiego przed wszelkim destrukcyjnym wpływem z zewnątrz? I pośród mnóstwa materjałów, z których się ta zbroja wytworzyła, jeden jest najhartowniejszy i najtrwalszy. Jest nim *religja*.

Gdy się mówi, że żydzi są grupą wyznaniową, należy w te słowa włożyć treść całkiem odmienną od tej, którą się w nie zazwyczaj kładzie. Odmienność religijna między żydem a Polakiem jest zjawiskiem całkiem innego typu, niż różnice, zachodzące pod tym względem między Polakami wyznania katolickiego i protestanckiego np. Kursujący bardzo często frazes, że właściwie niema u nas wcale żydów, tylko są Polacy różnych wyznań, jest dowodem powszechnie u nas lubianej metody gaszenia prawdziwych pożarów garściami urojonych a dźwięcznych słów.

Wbrew rozlegającym się nieraz głosom stwierdzić należy, że asymilacja istotna nie da się skojarzyć z całkowitym utrzymaniem judaizmu. Nie dlatego, abyśmy sądzili, że ideje katolicyzmu i polskości w jedno się zlewają i od siebie odłączyć się nie dadzą, nie dlatego, abyśmy wogóle przejęcie się duchem pewnej kultury czynili zależnym od takiego lub innego wyznania. Ponieważ więc katolicyzm nie jest integralną częścią polskości, a zatym formalnie możnaby orzec, że judaizm w niczym się polskości nie przeciwstawia. Ale tylko formalnie. W rzeczywistości bowiem rzeczy mają się całkiem inaczej. Wyjęcie więc judaizmu z ogólnej reguły jest rzeczą konieczną. Usprawiedliwia ją osobliwa rola, którą on w dziejach żydowstwa odegrał.

Judaizm, jakieśmy to już wyżej zaznaczyli, był nietylko religją żydów, lecz i ich obroną przed zatraceniem własnej indywidualności grupowej. W tej dwoistości przeznaczeń należy szukać klucza do zagadek, którymi nigdy dla europejczyka być nie przestawały żydowskie osobliwości religijne.

Każdego człowieka, powierzchownie chociażby obeznanego z żydowską literaturą religijną, uderzyć musiała dziwna i na pierwszy rzut oka zgoła niewytłumaczalna, ostra różnica, zachodząca między tą jej częścią, która powstała przypuszczalnie jeszcze w epoce państwowej niezależności żydów, a tą, która już w epoce „golusu" wykwitła — między Starym Testamentem z jednej strony a Talmudem i jego komentarzami z drugiej. Również znanym jest fakt, że cała współczesna religijna praktyka żydowska wypływa z przesłanek, całkowicie na Talmudzie opartych, ze Starym Testamentem bardzo luźno tylko związanych.

Niezmiernie wielka oporność żydów na wszystkie wpływy zewnętrzne, najczęściej jakąś niesprawdzalną rasowością tłomaczona, staje się jednak nieco zrozumialszą, z chwilą gdy w Talmudzie i religji jej przyczyn doszukiwać się zaczniemy. Ogólnikowe traktowanie tego przedmiotu, gwałtowne wciskanie judaizmu do tych samych, co i inne religje, ramek tu do żadnych rezultatów nie doprowadzi. Uwzględnić należy to, co w judaizmie było szczególnego — tę dwoistość jego roli i wówczas dopiero wyjaśnić się może jego zagadka.

Gdy życiu pewnego narodu zagraża zagłada, wówczas jedynym naturalnym jego odruchem jest skupienie się wewnętrzne, dążność do odseparowania się od reszty świata. Najwyższy organizm społeczny idzie wówczas za przykładem najniższych organizmów zwierzęcych: otacza się twardą, nieprzenikliwą skorupą, przez którą nic z niego nie wyjdzie nazewnątrz i nic z zewnątrz do niego nie przeniknie. „Wytrwać, przeczekać złą godzinę, samemu sobie duchowo wystarczyć" staje się hasłem tego narodu, jedynym sensem jego życia. U żydów wszystko zostało na budowę tej skorupy użyte: życie towarzyskie, kultura, religja. Zwłaszcza, ta otatnia.

Talmud przyjął na siebie rolę ochraniacza żydowskiej odrębności i w tym celu zmodyfikował treść i tendencje religji, wprowadził do niej pierwiastki całkowicie obce jej dawnym, starotestamentowym założeniom a znajdujące uzasadnienie tylko w nadanej religji funkcji społecznej obrony narodowego typu żydowskiego. Aby żydów od asymilacji obronić, należało ich przedewszystkim za pomocą całego systemu praw i prawideł od reszty ludności odgrodzić, stworzyć im odmienne życie wewnętrzne, pozbawione zupełnie wszelkiej styczności z t. zw. gojami. Prawodawstwo Talmudu w zupełności temu celowi odpowiada.

Krok za krokiem, powoli i systematycznie wznosi ono mury żydowskiego duchowego ghetta i duszę żydowską, uprzednio całym systemem przepisów i zakazów skrepowaną, na długo w nim osadza. Wszystko w prawodawstwie talmudycznym zmierza ku izolowaniu żydów, ku ich największemu wyodrębnianiu: a w pierwszym rzędzie służą ku temu prawidła, obejmujące dziedzinę odżywiania się (t. zw. trefne i ko-

szerne), dziedzinę t. zw. „czystości" i odpoczynek sobotni. Że w tym całym, skomplikowanym systemacie prawodawczym, główną rolę odgrywa jego strona formalna t. j. sam fakt wyosobniania żydów, świadczy choćby to, że niektóre prawidła, żadną miarą nie dające się oprzeć na urojonych nawet cytatach ze Starego Testamentu lub wcześniejszych Talmudystów (t. zw. Temaim), uzasadnia się tym, że ich zastosowanie jeszcze bardziej żydów od „gojów" odróżni. Tymi względami np. tłumaczą u nas chasydzi zwyczaj noszenia długich „chałatów".

Te i inne podobne przykłady dowodzą, że ghetto nie było bynajmniej jednostronnym wytworem społeczeństw europejskich, broniących się przed wtargnięciem do ich środowiska elementów obcych im rasowo, społecznie i kulturalnie. Mury ghetta dźwignęły pospołu ręce chrześcijańskie i żydowskie, a może nawet w większej mierze te ostatnie, albowiem w tym izolowaniu się od reszty świata upatrywali żydzi jedyną możliwość utrzymania się, jako oddzielna grupa narodowa. Trwałość ghetta, uwarunkowana specjalną konfiguracją elementów natury społeczno-gospodarczej, w znacznej jednak mierze złożoną być może na karb tych uczuć i myśli, które Talmud przez wieki całe kultywował i wzmacniał. Wszyscy bardzo często mówimy o przysłowiowiowej wprost arogancji żydowskiej, ich wielkiemu mniemaniu o sobie a jednoczesnej pogardzie dla innych narodów. Za całe objaśnienie tego faktu służy nam garść nic nie mówiących komunałów o rasowości — specjalnej jakoby konstrukcji umysłowości żydowskiej, która w czarnym świetle widzi wszystko nazewnątrz niej stojące, wszystko, co korzeniami swymi tkwi w innej, obcej jej glebie uważa już a priori za niegodne, szkodliwe i na zagładę skazane. Fakt istnienia w umysłowości żydowskiej pewnych, charakterystycznych właściwości „tłumaczymy", powtarzając innymi słowami, że właściwości te istnieją, niczym ów doktór molierowski, którego zdaniem opium usypia dlatego, że ma własność usypiania.

Zamiast operować mglistymi i dowolnymi kategorjami rasowości zwróćmy się lepiej do historji, do tej jedynej dziedziny, która zagadnienie to może rozwiązać, zbadajmy jaka realna treść społeczno-kulturalna odpowiadała tym właściwościom psychicznym, jakim potrzebom, jakim formom walki o byt właściwości te zadość czyniły.

Gdy się zważy, że przez cały czas swego pobytu w Europie żydzi stanowili grupę społecznie i kulturalnie odrębną i *tej swojej odrębności zazdrośnie strzegli*, gdy się zważy, że ten pęd ku izolacji (wówczas na trwałych podstawach oparty) był jedyną treścią średniowiecznej historji żydów, jasnym się stanie, że wysiłki czynione przez świadomość żydowską w celu zohydzenia całej rzeczywistości kulturalnej, po za nią stojącej, były rzeczą historycznie uzasadnioną i konieczną. Aby się ostać wobec zewsząd napierającej fali obcego życia, niedość było wzmacniać gmach własnej twierdzy, niedość było wywyższać i gloryfikowac treść własnego życia, należało przedewszystkim znienawidzieć i wzgardzić tym, co stało na zewnątrz a co w każdej chwili wtargnąć mogło. Nienawiść i wzgarda, wspólnie przez pewną grupę ludzką dla innych odczuwana, jest dla tej grupy najlepszym spoidłem, największą gwarancją jej odrębności i izolacji. Arogancja więc nie jest żadną fatalistyczną emanacją żydowskiej umysłowości, lecz wytworzoną przez historję, właściwą wszystkim. ginącym a niegdyś kulturalnie twórczym narodom, formą walki o byt.

(d. n.) *Anatol Mühlstein.*

Kolonje i Metropolje.

W świecie stosunków kolonji do metropolji powstaje ruch nowy, ale silny i prawdopodobnie trudny do złamania i zniszczenia. Kolonje żądają, by patrzano na nie nie jak na żywioł niewolniczy, zależny od łaski i niełaski swych panów, lecz jak na dzieci swej silnej, bogatszej i więcej rozwiniętej matki. Jeżeli dziecko, dochodząc do wieku dojrzalszego wyrasta z opieki rodzicielskiej, nie zrywając stosunków przyjaznych z ojcem i matką, również i kolonje uważają, że dla nich musi nastąpić chwila, gdy z krępującej opieki metropolji wyemancypują się i zaczną życie samodzielne.

Polityczne wyzwolenie się kolonji jest rzeczą nieuniknioną i przykładów tego daje historja sporo: uniezależnienie się Stanów Zjednoczonych i cały szereg rzeczypospolitych Ameryki południowej, Peru, Meksyku, Kolumbji, Ekwadora, Venezueli i Brazylji.

Rasa anglo-saksońska pierwsza zrozumiała, odczuła słuszność tych dążeń swych kolonji i zainicjowała nowy stosunek do nich, uprzednio nie praktykowany przez nich samych, a dotychczas nie uznany przez inne narody. Zrozumieli Anglicy, że niezadowolenie łatwo się przemienia w separatyzm i uniknąć go mogli za cenę nadawanej i stale rozszerzanej autonomji.

Powstała cała szkoła wielkich, głębokich umysłów, którzy to nowe zapatrywanie się na stosunek przyłączonych krajów teoretycznie opracowywali.

Oto np. co mówił lord John Russel w mowie wygłoszonej w parlamencie jeszcze 8 lutego 1850 roku, rozwijając zasady kierownicze kolonjalnej polityki angielskiej:

„Bezsprzecznie, przewiduję razem ze wszystkimi, że niektóre kolonje nasze tak wzrosną liczbą ludności i bogactwem, że powiedzą nam pewne go dnia: „Mamy dosyć już siły by być od Anglji niezależnymi. Więzy, które nas łączą, są dla nas ciężarem i nastąpił czas, kiedy pragniemy niepodległości. Nie sądzę, by chwila taka była bardzo blizką. Wszelako czyńmy wszystko co od nas zależy, by kolonje stały się zdolne do samorządu. Dajmy im umiejętność kierowania swymi własnymi sprawami. Niech rosną i wzbogacają się, a my obywatele naszej wielkiej ojczyzny cieszmy się przeświadczeniem, żeśmy współdziałali dla szczęścia innych".

Taką też szlachetną i liberalną była polityka kolonjalna angielska w ciągu ostatniej połowy wieku. I można być pewnym, że kolonje Anglji Kanada, Australja, Południowa Afryka, a prawdopodobnie i Indje nie zerwą nigdy więzów przyjaźni ze swą uprzednią opiekunką.

Amerykanie wstępują w ślady blizkiej im duchowo rasy — anglosaksońskiej. Przytoczę tu zdanie Tafta, obecnego prezydenta największej respubliki świata, który kilka lat temu był gubernatorem wysp Filipińskich i według oceny jego biografów, swymi zarządzeniami, pełnymi taktu, uczciwości i liberalizmu podbił tę nową kolonję skuteczniej niż można było zrobić to orężem. Taft tak wyjaśniał w jednej swej proklamacji z 1901 r. cel swych dążeń:

„Poczucie sprawiedliwości i nasza przyjaźń dla mieszkańców Filipinów oddala od nas wszelką myśl eksploatowania kolonji. My chcemy, by Filipiny prosperowały i pod naszym kierownictwem szły po drodze pewnej i lojalnej do celu, niezbędnego dla wszystkich miłujących wolność i niepodległość".

Francja pozostaje daleko od tych wielkich humanitarnych idej, będących wynikiem wciąż rosnącego poczucia sprawiedliwości i całego dorobku kulturalnego obecnej doby. Kolonje francuskie są w stanie opłakanym, pomimo że należą do najbogatszych w świecie krajów. (Zajmują one przestrzeń 3,000,000 kwadr. kilometr. z 30 miljonową ludnością). W paź-

dzierniku r. b. w Paryżu odbył się kongres starych kolonji francuskich (Martyniki, Guadelupy, św. Piotra, Mikelona, wysp Zjednoczenia). Złożony przeważnie z działaczy kolonjalnych rządowych nie był kongres ów zdolny do wejrzenia na kwestję stosunku kolonji i metropolji głębszego i szerszego. Omawiano jednak zbyt uciążliwą zależność ekonomiczną, więc cła, źle uregulowany handel i zły system rządzenia. Wystąpiła tedy mimowoli kwestja ewentualnego nadania kolonjom konstytucji autonomji, rządzenia krajami zupełnie w innych niż metropolja znajdujących się warunkach przez własnych obywateli, nie zaś przyjezdnych gubernatorów. Musiano się przyznać, że duma narodowa wielkiego narodu francuskiego cierpi nie mało gdy porównywa smutny stan kolonji na wyspach Antylskich z kwitnącymi obok nich faktorjami angielskimi i nawet holenderskimi.

Dobre i to. Przyznanie się do swej słabości będzie pierwszym krokiem, po którym nastąpią inne, tym bardziej, że prawdopodobnie i same kolonje w XX wieku podążą ku niezależności ruchem szybszym i pewniejszym.

Br. P.

Praca dzieci w Galicji.

W życiu politycznym Austrji panuje już od dłuższego czasu rozpaczliwa dysorjentacja. Spór narodowościowy doszedłszy do punktu martwego, paraliżuje wszelką działalność parlamentarną i usuwa na plan drugi wszystkie życiowo-aktualne problemy socjalne. A ustawodawstwo społeczne austryjackie tak jest fragmentaryczne, przestarzałe i niedostosowane do nowych form produkcji i obrotu przemysłowego, że nie będzie przesadnym twierdzenie, iż całokształt życia gospodarczego domaga się prawnego unormowania.

A tymczasem brak najzupełniej jakiegoś wszechstronnego programu, któryby objął ogół zagadnień gospodarczych, któryby zbudował podłoże ustawodawcze dla rozwoju ekonomicznego i oczyścił tę dławiącą atmosferę, stworzoną z jednej strony przez anarchiczne pozostałości zbankrutowanego liberalizmu, z drugiej przez wieloletni infantylizm reprezentacji parlamentarnej.

Dla celowej akcji parlamentu w kierunku radykalnej *sanacji stosunków robotniczych* brakuje obecnie nawet najkardynalniejszego warunku — zainteresowania.

Tam gdzie w każdej chwili stanąć może na porządku dziennym kwestja to be or not to be nie znajdzie się dość spokoju do rozstrząsania takich kwestji jak ubezpieczenie społeczne, ustawodawstwo ochronne robotn., bezrobocie niezawinione i t. p. Dlatego śmiem twierdzić, że nawet projekt ubezpieczenia społecznego, komentowany przez najprzeróżniejsze instytucje, rozpatrywany przez komisje, subkomisje, rady przyboczne, zakłady ubezpieczeń, poparty materjałami licznych ankiet — że ten nawet projekt w plenum izby parlamentarnej nie jest jeszcze aktualnym.

O ileż dalszymi realizacji są inne postulaty klasy pracującej! A jest ich legjon cały.

Oto niedawno okazało się, że *setki tysięcy dzieci* pozbawione są ochrony ustawodawczej, mimo, że żyją w warunkach opłakanych — bezsilne ofiary nędzy proletarjackiej. Dokąd zaś ustawodawstwo przemysłowe ingierencją swą sięga, tam opieka jest raczej iluzją niż rzeczywistością.

Ustawodawstwo przemysłowe austryjackie, dla którego punktem wyjścia była właśnie ochrona elementu fizycznie i socjalnie najsłabszego, w dalszym swym rozwoju kwestję tę najzupełniej zaniedbało tak, że nagromadzony obecnie materjał statystyczny stanowi pełne grozy oskarżenie i rządu i parlamentu.

Przepisy ochronne odnośnie do dzieci i robotników młodocianych mieszczą się w noweli przem. z r. 1885. Ustawie tej podlegają jednak niektóre tylko kategorje robotników. Rolnictwo i przemysł domowy wyjęte są z pod rygoru ustawy ochronnej, dzieci więc, które dostarczają tym gałęziom produkcji bardzo licznego kontyngentu robotników, oddane są na łaskę i niełaskę losu.

W rzemiośle zakazaną jest praca dzieciom niżej l. 12. W wieku od 12 — 14 r. dzień roboczy maksymalny wynosi godzin 8.

Fabrykom nie wolno zatrudniać robotników, którzy nie ukończyli 14 r. życia. Najdłuższy dzień pracy nie może przenosić, taksamo jak dla robotników dorosłych, 11 godzin.

Mimo, że ustawa ta jest w całej swej osnowie jednym wielkim ustępstwem na rzecz kapitału, oddano władzy wykonawczej b. szeroką moc dyskrecjonalną zezwalającą suspendować rozmaite przepisy według swobodnego uznania. Wartość więc ustawy, zwłaszcza wobec niezwykle ospałej egzektywy, jest minimalna.

Zajęcia zawodowe nie powinny kolidować z ustawowym obowiązkiem uczęszczania do szkoły. Przymus szkolny rozpoczyna się z ukończonym 6 r. życia i trwa w Galicji, na mocy ust. kraj. z dn. 25 maja 1895 r. l 57 dz. u. kr., w mieście lat 7, na wsi 6.

Rząd, który przypuszczał zapewnie, że parlament ludowy więcej okaże zainteresowania dla kwestji społecznych, uznał za stosowne przygotować materjał faktyczny do kwestji pracy dzieci. Przedsięwzięto w tym celu we wszystkich prowincjach państwa obszerne wywiady w szkołach ludowych i uzupełniających wieczornych. Od szeregu miesięcy ogłasza urząd statystyki pracy wyniki tymczasowe tej ankiety dla poszczególnych prowincji, między innymi zaś także dla *Galicji.*

Publikacja rządowa jest już w pewnej mierze opracowaniem materjału. Ograniczę się więc do streszczenia tego surowego sprawozdania i do szkicowego tylko zaznaczenia wad i usterek ankiety, ocenę krytyczną technicznego jej przeprowadzenia i socjalnego znaczenia jej wyników, odkładam do chwili, gdy skomplikowany materjał oddany zostanie do użytku publicznego.

W Galicji wywiady przeprowadzono w 544 szkołach, do których uczęszczało 130,300 dzieci — 66,200 chłopców i 64,100 dziewcząt. Dla uzyskania wiadomości jak najwszechstronniejszych uwzględniono proporcjonalnie miasta (95 szkół), miasteczka (37) i wsi (442). Do opracowania nadawało się 393 kwestjonarjuszy, podających wiadomości o 97,288 dzieciach.

Ogólna cyfra dzieci pracujących zawodowo wynosi 32,031 (32,9 proc.), w czym ilość chłopców przerasta ilość dziewcząt o 2,7 proc. Jeżeli porównamy Galicję z innymi prowincjami Austrji, to ilościowo stosunki przedstawiają się gorzej niż w Czechach i w Dolnej Austrji, korzystniej zaś niż na Morawach i na Śląsku.

Bardzo wyraźne różnice zarysowują się między miastem a wsią, a struktura gospodarcza kraju jest w tym kierunku czynnikiem decydującym. W miastach o silnie rozwiniętym przemyśle fabrycznym rośnie wciąż zapotrzebowanie tanich rąk roboczych, dlatego też frekwencja dzieci w fabrykach jest duża. W okolicach rolniczych, w miastach wartościowość siły roboczej jest znacznie niższa — na wsi zaś przeciwnie wobec względnej nieproduktywności gospodarstw małorolnych eksploatuje się przedewszystkim siły nieopłacane. W rolniczej Galicji na 100 dzieci uczęszczających do szkół elementarnych pracuje w miastach 14,8, na wsi 41,0. Jakże inaczej przedstawiają się stosunki w centrach przemysłowych np. w Czechach. Tu-

taj w miastach pracuje 23,9 proc., na wsi 41,8 proc. dzieci.

I tutaj już zauważyć należy, że chociaż praca rolnicza odbywa się w warunkach mniej szkodliwych dla zdrowia, to jednak tej przewagi rolnictwa przeceniać nie należy, gdyż doniosłe znaczenie dla oceny tych zajęć z punktu widzenia hygjeny posiada także *intensywność* pracy, której ustawodawstwo, nie reglementując dnia roboczego, nie stawia żadnej granicy.

Upośledzenie ekonomiczne dzieci *nieślubnych* tłumaczy nam znaczny ich udział w kategorji osób zarobkujących już w wieku szkolnym. Objaw ten stwierdzono we wszystkich prowincjach państwa.

W Galicji na pozór rzecz przedstawia się odmiennie, procentowo mniej dzieci nieślubnych niż ślubnych pracuje zawodowo. Przyczyny szukać należy w spocyficznie galicyjskiej anomalji społecznej, w t. zw. małżeństwach rytualnych. Są to małżeństwa żydowskie zawierane tylko według przepisów rytualnych, a z tego powodu nieuznane przez prawo. Dzieci takich rodziców mają oczywiście pozycję ekonomiczną dzieci ślubnych.

Im bardziej wiek dzieci zbliża się do granicy, od której według ustawy rozpoczyna się swoboda zarobkowania, tym ilość zawodowo pracujących wzrasta

od 6 — 8 r.	pracowało zaw.	14,6 proc.
„ 9 — 10	„	32,4 „
„ 11 — 12	„	46,5 „
„ 13 — 14	„	59,3 „

Objaw to zresztą zupełnie prawidłowy i nie wymaga bliższych komentarzy.

Na tym kończy się pierwsza część sprawozdania, poświęcona ilościowej stronie kwestji. Część druga zajmuje się przedewszystkim zróżniczkowaniem zawodowym.

W gospodarstwach rolnych pracuje 11,464 dzieci t. j. 33 proc. ogółu pracujących. Pozycja ta obejmuje dzieci zatrudnione tylko w rolnictwie, jeżeli zaś uwzględnimy te, które równocześnie pracują w gospodarstwie domowym lub w innych gałęziach produkcji, to ilość wzrasta więcej niż w dwójnasób, wynosi zaś 72,8 proc.

Ta niezwykła rozbieżność dwuch tych ilości jest faktem bardzo znamiennym, pośrednio bowiem świadczy o nadmiernej eksploatacji siły roboczej stosowanej. równocześnie w kilku odmiennych gałęziach produkcji.

Czynności dzieci są rozmaite, wyliczanie ich nie miałoby celu, gdyż gospodarstwo rolne posługuje się pracą dzieci we wszystkich swych działach.

Ankieta wykazała, iż ustawodawca musi się liczyć z faktem, że nowoczesna technika wtargnęła już także do rolnictwa. Dzieci obsługujące maszynę rolniczą narażone są na niebezpieczeństwo nie mniejsze niż w fabrykach.

Zadziwia wprost znikomy udział przemysłu wielkiego, który wraz z rzemiosłem i przemysłem domowym zatrudnia zaledwie 57 proc pracujących dzieci. W przemyśle i w innych zawodach równocześnie pracowało 13,7 proc. Kraj pozbawiony jest przemysłu, a fakt ten przy każdej sposobności statystycznie się ujawnia, Widzimy więc, że z ustawodawstwa ochronnego korzysta w Galicji bardzo szczupła garstka dzieci. Udział poszczególnych zawodów w innych prowincjach jest djametralnie różny

pracowało	w przemyśle	w rolnictwie
w Czechach	42,9%	49,7%
w D. Austrji	20,1	44,1
na Morawach	34,2	61,9

Eksperci niniejszej ankiety pracują we wszystkich typowych formach kapitalistycznej produkcji: w fabrykach, w warsztatach rzemieślniczych i w przemyśle domowym.

W okolicach, gdzie przemysł domowy jest rozwinięty, ilość dzieci pracujących jest bardzo znaczna, niema prawie warsztatu, w którymby dzieci nie brały udziału w produkcji. Praca rozpoczyna się w bardzo młodym wieku, a że kontrola przy takiej organizacji pracy jest wielce utrudniona, wyłania się więc tu bardzo trudny problem ustawodawczy. Zatrudnienia dostarcza w pierwszym rzędzie przemysł ślusarski, kowalski, tkacki i koszykarski. Daty statystyczne odnoszące się do przemysłu domowego są niezbyt dokładne, o rzeczywistym więc stanie rzeczy trzeba nierzadko informować się z przytoczonych faktów konkretnych. I tak np. dowiadujemy się, że w Rudniku, ognisku przemysłu koszykarskiego, 8-mio letnie dzieci samodzielnie wyplatają koszyki, a więc, że pracę zawodową rozpoczęły już znacznie wcześniej.

Niestety *ankieta nie stwierdziła, czy dzieci te pracują tylko u swoich rodziców, czy też także u obcych przedsiębiorców*, a jest to okoliczność ważna tak ze względów ekonomicznych, jak i wychowawczych.

Prawnie istnieje zasadnica różnica między pracą dzieci w fabrykach, a w rolnictwie i przemyśle domowym. Praca dzieci w rolnictwie i w przemyśle domowym jest objawem społecznie ujemnym, powinna więc być w drodze ustawowej usunietą, zatrudnianie dzieci w fabrykach jest przekroczeniem *pozytywnego* ustawodawstwa, a więc nadużyciem karygodnym. A rozchodzi się tu o najbezwzględniejszy, masowy wyzysk. Pracę dzieci stosuje się nawet w takich fabrykach jak ceglarnie, huty szklanne, papiernie, tartaki i t. p.

W fabrykach papieru sortują dzieci szmaty, przyczym oczywiście najrozmaitsze bakcyle i kurz osiadają na nierozwiniętych płucach dziecięcych.

Zatrudnienie jest nawet dla osób dorosłych tak szkodliwe, że ministerstwo wydało rozporządzenie które ma choć w części niebezpieczeństwu zapobiedz. Rozporządzenie to jest zresztą bezwartościowe tak ze względu na stylizację swą, jak i na treść merytoryczną, a wspominam o nim tylko dlatego, aby wykazać, do jakiego stopnia nadużywa się siły roboczej bezbronnych dzieci.

W tartakach spełniają dzieci „czynności najtrudniejsze i najniebezpieczniejsze, jakie wogólności dzieciom powierzyć można". Tak informują czynniki rządowe, których przecież o stronniczość na korzyść robotników podejrzywać nie można!

92 dzieci pracuje w cegielniach, 10-cioro w kamieniołomach, a 9-cioro rozbija kamienie na gościńcach Facta loquantur! —

Wymieniam tu tylko *przykładowo* niektóre kategorje przemysłu, oczywiście także inne zatrudniają dzieci w mniejszej lub większej liczbie.

Do tego, co wyżej podałem, ograniczają się wiadomości ankiety. A to przecież całej kwestji zaledwie połowa! Stwierdzono tylko, *że* pewna ogromna ilość dzieci pracuje, nie mniej doniosłą kwestję, *jak* one pracują, pominięto. Już bodaj dla scharakteryzowania tej pracy, dla rozstrzygnięcia, czy rozchodzi się tu o malum necessarium kraju biedaków, czy o nadużycie niesumiennych rodziców i przdsiębiorców, trzeba koniecznie wiedzić, jak długi jest dzień roboczy, jakie warunki hygjeniczne, jaki stan zdrowia tych dzieci i jakie oddziaływanie tej pracy na naukę szkolną. Zapewne, zebranie takich wiadomości nasuwa rozmaite trudności techniczo-statystyczne, ale nie usprawiedliwia to jeszcze zupełnego ich pominięcia. Ankieta przeprowadzona przed dziesiątkiem lat w Niemczech wyczerpująco zajmuje się długością dnia roboczego [1]). Podobnie także niniejsza ankieta odnośnie do *innych* prowincji szczegółowe w tym kierunku podaje wiadomości.

[1]) Vierteljahrshefte z. Statistik d. deut. Reiches 1900 III (97).

A na koniec jeszcze kilka smutnych cyfr. W przemyśle t. zw. gospodnio-szynkarskim, to jest w szynkach, zajazdach, gospodach, hotelach pracuje 214 dzieci, w tym 52 proc. dziewcząt (na Morawach 22 proc., w Czechach 13 proc.!). Przyjąć więc możemy, że w atmosferze szynku wychowuje się w Galicji 2,140 dzieci — ankieta bowiem operuje $^1/_{10}$ częścią całkowitego materjału faktycznego. Taka przerażająca ilość wrażliwych, a nieodpornych umysłów dziecięcych poznaje życie jako refleks próżniactwia, alkoholizmu i prostytucji. I czyż dziwić się można że to codzienne przebywanie wśród indywidnów zdeklasowanych, moralnie upadłych i społecznie szkodliwych, stępia zupełnie krytycyzm tych dzieci wobec najprzeróżniejszych przejawów zboczeń etycznych, czyż dziwić się można, że budzi się w tych życiowo na wnych duszach zabójczy indyferentyzm wobec faktów, które grozą i wstrętem przejmować i do walki zachęcać powinny.

Szary ten wir zrospaczonych szaleńców niejedno z tych dzieci obejmie zapewne, by je wkońcu doprowadzić z nieuniknioną koniecznością do *moral insanity.*

Aleksander Gottlieb.

NA DOBIE.

Roma locuta.

Nie od dziś dyplomacja papieska zdumiewa świat grubiaństwem i nietaktem swoich wystąpień. Za każdym razem gdy się odezwie gremium kardynałów, oczekiwać można nowego skandalu. I nic w tym dziwnego. Szczególny dobór osobisty, na mocy którego na szczyty hierarchji kościelnej dostają się ludzie bezwzględni, fanatyczni, ciaśni, skłóceni ze współczesnym życiem i nienawidzący go ze wszech sił — ten dobór długotrwały wydaje bujne owoce.

Kurja rzymska to swojego rodzaju *enfant terrible,* budzące ucieszną wesołość wśród wrogów, a konsternację i popłoch w sferach oświeceńszych katolików. Dawne orzeczenie: *Roma locuta — cuasa finita* — należałoby dziś zmienić odpowiednio i rzec raz na zawsze: *Roma locuta — causa perdita...*

Niebezpieczną dla kościoła burzę wywołała też ostatnia encyklika, na cześć św. Karola Boromeusza wydana, a zawierająca brutalną i krzywdzącą napaść na Reformację i protestantyzm, widziany przez pryzmat klerykalizmu jako źródło wszystkich „odstępstw" i „rokoszów" nowożytnych. Odpowiedni ustęp, co do którego ma być wniesiona interpelacja w Niemczech, brzmi jak następuje: [1])

> Szalały wtedy namiętności, świadomość prawdy była; przekręcona i zaciemniona, była to ustawiczna walka z błędem: ludzkie społeczeństwo rzuciło się ku temu złu i zdawało się ulegać tej zgubie. W takich okolicznościach wystąpili zarozumiali i złośliwi ludzie, wrogowie Krzyża Chrystusowego, ludzie z ziemskimi naturami, dla których *brzuch był Bogiem.*
>
> Ci zabrali się naturalnie nie do ulepszenia obyczajów, lecz do zaprzeczania dogmatom, pomnożyli nieład i dali swobodny bieg nieokiełznaniu swojemu i cudzemu, albo podkopywali przynajmniej naukę, konstytucję i dyscyplinę Kościoła, z pogardą dla jego decydującego przewodnictwa, z *pochlebstwem dla namiętności znikczemniałych książąt i ludów* a także i z pewnego rodzaju tyranją.
>
> Potym naśladowali tych bezbożników, do których odnosi się groźba: „Biada tym, którzy dobre nazywacie złem, a złe dobrem" i nazwali *buntowniczy zamęt,* przełamanie wiary i obyczajów „reformą" a siebie samych „reformatorami".
>
> W rzeczywistości byli uwodzicielami, a wyczerpawszy siły Europy przez spory i wojny, *przygotowali rokosz i odstępstwo czasów nowożytnych,* w których w jedną jedyną walkę zespoliły się trzy rodzaje walk, które przedtym były rozłączone i z których Kościół wychodził zawsze zwycięsko: krwawe walki pierwszych czasów, potym wewnętrzną zarazę herezji, wreszcie *pod nazwą ewangielickiej swobody takie zepsucie obyczajów* i taką przewrotność nauki, do jakiej nawet średnie wieki nie doszły".

[1]) według *Kurjera Porannego.*

Nie wiadomo, co bardziej podziwiać w tym świętobliwym paszkwilu, czy cynizm na nic niepamiętny, czy ślepą ignorancję, czy sekciarską zawziętość. W każdym razie brak tu tej *dostojności,* która naszym zdaniem powinna cechować każdy akt religijny w odróżnieniu od swarliwego tonu polemik wiecowych.

Ale tym razem pobożni Kalchasi z Watykanu znaleźli się niżej własnego poziomu. Toć każdy rozgarnięty dzieciak wie dziś doskonale, że Reformacja była odruchem protestu ludzi szczerze religijnych wobec niesłychanego upadku wiary i zepsucia obyczajów na dworze takich papieży, jak Aleksander VI Borgia; że z drugiej strony, była pierwszym zawiązkiem emancypacji narodów, pierwszym przejawem tego ducha samodzielności, inicjatywy i energji, który następnie objął cały świat i po dziś dzień nie przestaje święcić tryumfów. Reformacja dała oświatę, potęgę i dobrobyt tym ludom, u których się przyjęła, zaś reakcja katolicka np. w Polsce, zmógłszy ruch wyzwoleńczy, wniosła w organizm narodowy zaczątki śmiertelnej choroby... *To są fakty dziejowe,* żłobione trwale na obliczu ziemi; filuterja fałszerzy watykańskich równie jest tu bezsilną i spóźnioną, jak historjozofja plebana z Psiej Wólki.

L. G.

Po pogrzebie.

Komitet, który zajmował się pogrzebem Elizy Orzeszkowej w Grodnie, rozesłał do pism wyjaśnienie, z którego wyjmujemy następujący ustęp:

> 1) W numerze 54 *Gońca codziennego* zamieszczono wzmiankę, że podczas nabożeństwa żałobnego w kościele farnym, przy zwłokach ś. p. E. Orzeszkowej „kościół świecił rażącym niedbalstwem i tanim szablonem, że robił wrażenie „pogrzebu III klasy", że „nikła ilość świec, nędza katafalku i okna, nieprzysłonięte kirem, czyniły wrażenie przygnębiające" i że „komitet pogrzebowy w murach świątyni cofnął się przed oddaniem czci w formie, należnej pierwszej obywatelce kraju". Wobec tego komitet pogrzebowy winien zaznaczyć, że najzupełniej podziela powyższe wrażenia oraz że podobne potraktowanie tego obrzędu było dla samego komitetu niezmiernie przykrą niespodzianką. Komitet bowiem, w osobie czterech członków, prowadząc pertraktacje z ks. dziekanem grodzieńskim i będąc do tego upoważnionym przez najbliższych ś. p. Orzeszkowej, prosił go o możliwie okazałe przybranie kościoła oraz katafalku, i mógł się spodziewać, *ze względu na żądaną przez ks. dziekana sumę opłaty za pogrzeb (500 rb.)* bardzo wysokiej, jaka się w naszych stosunkach rzadko praktykuje, że po otrzymaniu z góry tej sumy, w którą nawet nie wchodziła opłata za uczestniczenie dwu bractw w pochodzie żałobnym, za śpiewy na chórach oraz za miejsce na cmentarzu,—uroczystość kościelna ujęta będzie we właściwe ramy.

W powściągliwych słowach tego wyjaśnienia kipi tłumione oburzenie, które ze swej strony zupełnie podzielamy. Mniej od komitetu skrępowani w sposobie wyjawiania swych uczuć, ważymy się też na wypowiedzenie życzeń, których Komitet *nie dopowiedział.*

Żądamy mianowicie *laicyzacji takich obrzędów narodowych jak niedawna uroczystość w Grodnie.* Naród powinien sam, z należną pompą i powagą składać hołd ostatni wielkim swoim ludziom, nie wyręczając się pośrednikami, którym zbywa nietylko na pietyzmie dla rzeczy najświętszych, ale i na pospolitej fachowej sumienności. Płacąc bajońskie sumy za uroczystość

kościelną, narażamy się mimo to na przykre niedbalstwo i lekceważanie ze strony sług kościoła, którzy widocznie zapomnieć nie mogą że ta *Kobieta świętej pamięci* przez całe życie trzymała księże sutanny w przyzwoitej od siebie odległości.

Nazwano Kościół przedsiębiorstwem eksploatacji nieszczęścia ze względu na korzyści, jakie zwykł ciągnąć z klęsk żywiołowych, jak powódź, trzęsienie ziemi, pożoga. Niemniej umiejętnie eksploatuje on *śmierć*, ważąc na ruble każde ludzkie szczątki... 500 rb. za drogie dla nas zwłoki Orzeszkowej wydały mu się sumą nieznaczną. Ks. dziekan grodzieński znalazł się, jak zdemoralizowany kelner wobec niedość sutego napiwka...

Tym gorzej dla kleru, jeśli społeczeństwo polskie wysnuje odpowiedni wniosek na przyszłość z tego smutnego zajścia. Tym lepiej dla Narodu jeśli na wzór rzeczypospolitej francuskiej, chować zechce Wielkich zmarłych własnym sumptem, w majestacie świeckiej i narodowej żałoby, bez udziału najemników niesumiennych i chciwych.

L. G.

Szczególna manifestacja polskości.

Odbyła się ona ostatnio w Sejmie pruskim. D. 4 czerwca obradowano nad wnioskiem zjednoczonych ludowców, domagających się od rządu wprowadzenia w gminach krematorjów, aby udostępnić ludziom ubogim palenie zwłok. Centrum i *Polacy* zwalczali ten wniosek, gdyż palenie zwłok jest sprzeczne z religją katolicką. Lewica wniosek uchwaliła przeważającą większością przeciwko głosom centrowców i Polaków.

Ten suchy fakcik nabiera pewnej soczystości, jeśli zważymy, że w życiu współczesnym aż roi się od sprzeczności z religją katolicką, począwszy od teorji Kopernika, a kończąc na ostatnich zdobyczach bakterjologji i chemji.

To też biedni posłowie polscy w Berlinie nie mało będą mieli mozołów i rozczarowań, jeśli nadal zechcą reprezentować polskość pod skrzydłami centrum. *L. G.*

Pierwszy szturm do Sokołówka.

Dziennik powszechny niezmordowany w tropieniu i nękaniu wszelkich placówek chłopskiego postępu po nieudanym ataku na Kruszynek przypuszcza szturm do Sokołówka.

I tam na kursach rolniczych „coś niedobrego słychać".

Tak przynajmniej donosi jeden z ojców w liście prywatnym współpracownikowi *Dziennika powszechnego*, p. J. Skibie.

Nigdy nie zabraknie *Dziennikowi* takich zaniepokojonych i zgorszonych ojców; zjawiają się oni zawsze w porę, by swe troski rodzicielskie wylać na łamy pism klerykalnych. Tym razem zagadka ich wystąpień staje się nawet bardzo przezroczysta.

Bezimienny ojciec, najprzód bardzo zadowolniony i wdzięczny pannie Dziubińskiej za postępy syna, który nawet listownie dzielił się z rodzicami treścią słyszanych wykładów, „*dowiaduje się z gazet*" że kursa w Sokołówku są podejrzane. Z jakich gazet? — wiadomo; z tych samych, które potym na jego list powoływać się będą. W ten sposób plotki o Sokołówku jak plotki o Kruszynku odbrzmiewać będą głośnym echem po wszystkich klerykalnych zaułkach, aż urośnie chór.

Zresztą między jedną sprawą, a drugą istnieje ścisłe zazębienie. Młody uczeń włościanin, o którym mowa, — dopuścił się rzeczy skandalicznej : podpisał w *Gazecie Kujawskiej* protest przeciw księdzu Jędrychowskiemu. To wystarczyło, by jego poczciwemu ojcu napędzić niemałego strachu: „może trafisz gdzie do marjawitów, pisze do syna, — to żebyś się niedał pociągnąć na inną wiarę, ale trzymaj się tej, w której się urodziłeś".

Tak! tak! kto nie czci ks. Jędrychowskiego, ten jest na drodze do herezji, do kacerstwa, do marjawityzmu lub zgoła do masonerji. Specyficznie kujawski katolicyzm nie poprzestając na uznaniu nieomylności papieskiej żąda jeszcze przyznania jej ks. Jędrychowskiemu. Prócz świąt ogólnie katolickich mamy przecież i święta parafjalne i parafjalnych patronów. Czemużby nie miał istnieć maleńki parafjalny papieżyk?

Pan Skiba naturalnie staje także na gruncie tego parafjalnego katolicyzmu. Nieufność do duchowieństwa, to dla niego równoznacznik bezreligijności, a protest przeciw ks. Jędrychowskiemu świadczy, iż wolnomyślni pedagogowie „jad niewiary" wszczepiają w dusze uczniów. Maluczko, a każdy targ z księdzem o ślub lub pogrzeb będzie objawem bezwyznaniowości chłopskiej. Wszakże „zaraniarze" głównie tym narażali się duchowieństwu, że *pycha rozumu* skusiła ich do obliczania dochodów parafjalnych i proponowania proboszczom stałej pensji w miejsce akcydensów.

Wolnomyśliciele spotwarzają księży, że dążą do gaszenia oświaty wśród chłopów. Wszak ich troskliwa opieka nad Kruszynkiem i Sokołówkiem, nad Kółkami Staszyca, Zaraniem, Kulturą Polską, Malinowskim, Biniekówną, Nocznickim zadaje dostateczny kłam tej potwarzy.

Nie gaszą oni ognisk postępu, lecz je rozdmuchują. Tak przynajmniej stało się z Kruszynkiem. Nie mogą jednak wymagać, by lud im był wdzięczny za tę przypadkową usługę.

Czyż to nie zgroza i skandal, gdy młody uczeń Sokołówka tak pisze: „Rozgrzeszenia nie dają, bo się ludzie biorą do oświaty, to księżom będzie źle, bo nie będą mieli z czego grosze wyłudzać. Musimy się sami brać i pracować".

Czy zrozpaczony ojciec zabrał zarażonego herezją syna do domu, o tym milczy dyskretny pan Skiba. Przypuszczać więc można, że nie. Nie wzywa też na razie do odebrania synów z Sokołówka, boć już raz podobna odezwa dotycząca Kruszynka spaliła na panewce, a Sokołówek trudniej zniszczyć niż Kruszynek, — bo ma byt samoistny, oparcie w masach chłopskich i subwencji od pana Benniego nie bierze. Istnienie tej szkoły — choć dotąd tylko w postaci kilkomiesięcznych kursów, jest wyrazem i symbolem samoistności i samopomocy chłopskiej, jest więc przedmiotem chluby i ambicji naszego włościaństwa: „Czy lud jest zbyt ubogi, by jedną szkołę gospodarską dla swych synów utrzymać?" pytał jeden z włościan na zebraniu kółek. „A z czyich to funduszów zbudowano i ozdobiono wszystkie kościoły gęsto po kraju rozsiane? Jeśli nas stać na utrzymanie tylu świątyń, zdobędziemy się i na utrzymanie *choćby jednej* szkoły gospodarczej". I tu więc znowu pośrednia zasługa duchowieństwa. Ono to odkryło skarby w nędzy chat chłopskich i lud widząc, jak wiele daje, przekonał się, jak wiele posiada. *M.*

Odczyt prof. Ig. Chrzanowskiego.

Odczytem „Charakterystyka ogólna literatury polskiej" żegnał prof. Ignacy Chrzanowski Warszawę. Temat nie tyle naukowy, ile efektowny, dał pole prelegientowi do wypowiedzenia kilku tez pięknych, a gorących o najistotniejszej treści piśmiennictwa naszego.

Autor w myśl teorji Brunetièra iż twórczość każdego narodu ma pewną zasadniczą cechę, wyodrębniającą ją z pośród literatur innych narodów, stwierdza iż taką podstawową cechą twórczości polskiej, jest jej narodowość i patrjotyzm na szczytnym ideale moralności i wolności oparty.

Poczynając od kroniki Długosza, który na pierwszym planie ideę miłości ojczyzny postawił, tak że dzieło jego „czynem patrjotycznym" zwać się winno, widzi Chrzanowski w rozwoju literatury stopniowe i coraz silniejsze idei tej rozwinięcie i uzasadnienie, mocą klęsk dziejowych gruntujące się w narodzie z coraz to większą wyrazistością i świadomością, tak, że nawet klasycyzm polski wyraźne znamiona idei patrjotycznej w sobie niesie, a potęguje się i pogłębia w literaturze porozbiorowej. I romantyzm w natchnionej pieśni Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i pozytywizm do odzyskania i pomnożenia sił narodu zdążający, są jakby pięknym i czarodziejskim traktatem politycznym, drogi ku zbawieniu ojczyzny szukającym. Nawet oderwane hasło „sztuka dla sztuki" z ostatniego okresu literatury naszej ostać się nie mogło, i jakby chwilowo w rozwoju swym powstrzymana idea narodowa z nową potęgą w pismach Żeromskiego, Wyspiańskiego, Reymonta i innych wybuchła. Stąd też zasadnicza teza prolegienta, iż literatura nasza do walki o byt narodu powołana, jest przedewszystkim literaturą narodową, tak że nawet dzieła jego o charakterze powszechno-ludzkim zabarwione są do głębi żywiołem nawskroś polskim.

St. Perzyński.

BADANIA NAUKOWE.

Antoni Menger: **Prawo do całkowitego wytworu pracy**. Z 3-go wyd. niem. tłum. J. H. pod redakcją K. Lutostańskiego, z przedmową d-r Zofji Daszyńskiej-Golińskiej. Warszawa 1909 (cena 75 kop.)

(Dokończenie).

Pierwsi socjaliści francuscy (Meslier, Morelly i Mably), polemizujący z własnością prywatną, wychodzą z założeń etycznych, nie dotykając wcale sprawy podziału dóbr. I Babeuf nie idzie znacznie dalej od nich; on bowiem uważa za miarodajny w podziale dóbr czynnik potrzeby jednostki, a więc — prawo do egzystencji. Ani Saint-Simon, ani Fourier nie negowali dochodu bez pracy; pierwszy z nich zalicza wprost do pożytecznych członków społeczeństwa zwalczanych dzisiaj przez socjalistów najbardziej przedsiębiorców w dziedzinie przemysłu, handlu i finansów, a drugi nawet w swym „nowym świecie" proponowanym, przyznawał kapitałowi około $^1/_{12}$ dochodu. Dopiero wśród uczniów St. Simona stopniowo wyłania się myśl o konieczności „stopniowego zniesienia wszystkich trybutów, płaconych przez pracę próżniactwu pod różnymi nazwami tenuty dzierżawnej od gruntów, czynszów dzierżawnych i procentów od kapitałów".

Widzimy więc, że postulat udzielania robotnikom całkowitego plonu ich pracy najwcześniej wypowiedziany został przez socjalistów angielskich. Przedstawienie tych mało albo wcale nieznanych autorów w właściwym świetle, jako poprzedników socjalistów francuskich i niemieckich jest niewątpliwą zasługą Mengera. Ale na tym Menger nie poprzestaje, lecz stara się wykazać, że Marx i Rodbertus, walczący w „niesmacznej" polemice o palmę pierwszeństwa odnośnie teorji nadwartości, obaj ją od starszych socjalistów angielskich i francuskich zapożyczyli; że *nie podali oni istotnych źródeł swych pomysłów* i że ich poprzednicy przewyższali obydwu w znacznej mierze głębokością i gruntownością (przedmowy autora do I i III wydania). [1]) Zgadzam się w zupełności z autorką przedmowy do wydania polskiego, że Menger patrząc na prace wielkich myślicieli socjalistycznych niemieckich ze swego jednostronnego stanowiska, nie docenia zwłaszcza „genialnych rzutów myśli wielkiego przewodnika socjalizmu współczesnego". Powiem więcej: Menger oczywiście ze specjalnym upodobaniem powtarza swe wycieczki pod adresem Marxa i Rodbertusa, starając się nawet wystawić ich jako plagiatorów w stosunku do ich poprzedników.

Tu popełnia on poprostu świadomy fałsz, gdyż przemilcza o tym, że Marx zaraz w pierwszej większej pracy swej, a mianowicie w wydanej 1847 r. „Misère de la philosophie" [2]) *podaje w tekście jako autorytety swoje* wszystkich tych socjalistów angielskich, których jakoby według Mengera ukrył przed swoimi czytelnikami. Z tonu wycieczek Mengera przeciw Marxowi i Rodbertusowi, z nacisku jaki na te „odkrycia" swoje kładzie i zwłaszcza z pobieżności, z jaką on Marxa traktuje, wywnioskować można, że krytycznym piórem naszego autora w tym jednym punkcie kierowały pobudki bądź politycznej, bądź osobistej natury, z prawdziwie naukową krytyką mało mające wspólnego. Niejeden przecie ordynarjusz niemiecki dzięki takiej właśnie „krytyce" marxizmu wypłynął.

Powtarzam: jest to jedyny rozdział książki Mengera, psujący harmonję całości. Bo np. przedstawienie stanowiska międzynarodówki i partji socjalistycznych niemieckiej i francuskiej w przedmiocie prawa do całkowitego wytworu pracy oraz poglądów Proudhona, Louis Blanc'a i Lassalle'a zaliczyć można do pereł literatury historycznej socjalizmu.

Mistrzowskie też jest oświetlenie socjalizmu konserwatywnego w Niemczech i sprawy upaństwowienia ziemi w Anglji, jakie nam Menger daje w rozdziale, zatytułowanym „usiłowania nowoczesne". Uderza tu naszego autora fakt znamienny, że w kraju o tak silnej koncentracji kapitału przemysłowega, jakim jest Anglja, krytyka socjalistów jest przedewszystkim na zwalczanie renty gruntowej zwrócona, i że naodwrót socjalizm o typie niemieckim — przeciw kapitałowi przemysłowemu zwrócony — prawie że nie odgrywa roli w życiu politycznym Anglji. Wytłumaczenie tego zjawiska znajduje Menger przedewszystkim w *ustosunkowaniu prawa i realnej siły politycznej.* W Anglji z jej landlordyzmem (t. j. koncentracją ziemi w ręku niewielu rodzin), któremu władza polityczna już dawno się wyślizgnęła i maleje coraz bardziej, walka z dochodem bez pracy miała najpodatniejszy podkład w własności ziemskiej. Natomiast w Niemczech i większości innych państw kontynentalnych władza polityczna spoczywa jeszcze wciąż niemal wyłącznie w ręku wielkich i średnich posiadaczy ziemi; z natury rzeczy więc usiłowania ukrócenia dochodu bez pracy poszły tu po innej *linji najmniejszego oporu*, którą tu były kapitały ruchome, a więc przemysłowe, handlowe i finansowe. A partje s.-d., które jako partje parlamentarne, rządzić się musiały oportunizmem politycznym, poszły w swej taktyce po tych właśnie linjach najmniejszego oporu, nie bacząc na to, że, z punktu widzenia prawa do całkowitego wytworu pracy, między lichwą gruntową i lichwą pieniężną zasadniczej różnicy niema. I pisarze społeczni, „będący na usługach partji religijnych i politycznych, bronią najenergiczniej dochodu bez pracy w tej formie, w jakiej do-

---

[1]) Menger oświadcza wprost, że uważa pracę Thompsona za „podstawowe dzieło socjalizmu" (str. 101), odmawiając do tego tytułu Marxowi.

[2]) Str. 49 i 50. Już w pracy mojej „Das Problem des Normalen in der Nationalökonomie" wydanej w Lipsku (1906) wskazałem na tę insynuację Mengera, za którym H. S. Foxwell uważał za możliwe ją powtórzyć i dodać nawet od siebie: „szczęściem Marxa było, że Bray był i w Niemczech tak mało znany".

staje się on ich towarzyszom partyjnym"; bo i pisarze kościelno-kanserwatywni są, według uwagi Mengera, przedstawicielami landed interest w przeciwieństwie do money interest. Wewnętrznie konsekwentnym byłoby stanowisko Kościoła, gdyby wystąpił *wogóle przeciw dochodowi bez pracy*, do czego dawałyby podstawę biblijną słowa apostoła Pawła: „Kto nie chce robić niech też nie je", nie zaś przeciw *jednej tylko formie* dochodu bez pracy, bronionego przez przedstawicieli partji „liberalnych".

Prawo do całkowitego wytworu pracy w jego rozumieniu negatywnym, t. j. jako potępienie dochodu bez pracy jest według trafnej syntezy Mengera zasadniczą ideą rewolucyjną, odróżniającą socjalizm we wszystkich jego formach od reformizmu, stojącego na gruncie obecnego ustroju ekonomicznego. Bo w ustroju obecnym urzeczywistnienie tego postulatu jest niemożliwym. Trudnym też byłoby jego przeprowadzenie w ustroju komunistycznym, ponieważ w nim wspólność posiadania i wspólność użytkowania prowadzi raczej do prawa do egzystencji. Naturalną zaś zasadą podziału dóbr może być prawo do całkowitego wytworu pracy według Mengera tylko w porządku prawnym, przyjmującym wspólną własność z oddzielnym użytkowaniem. Oto w dwu słowach credo Mengera. Najwątlej wreszcie przedstawia się, jak zwykle w podobnych pracach, rozdział ostatni, w którym Menger wskazuje punkty wytyczne dla prawodawstwa współczesnego. Należy według niego unikać w miarę możności 1) stwarzania nowych źródeł dochodu bez pracy i 2) przenoszenia renty gruntowej i zysku z kapitału z jednej klasy narodu do drugiej. To oczywiście żądania bardzo, jeśli nie nazbyt skromne; ale i tego jak na c. k. profesora bardzo wiele.

Szkic powyższy wypadł może obszerniej, niżby dla referatu o książeczce o 177 stronach druku wypadało. Ale właśnie niemożność streszczenia jej na dwuch szpaltach jest najlepszym świadectwem, jakie pracy naukowej wystawić można.

Gorzej niż o samej książce i pięknej przedmowie p. D-r Daszyńskiej-Golińskiej, musi wypaść sąd mój o tłumaczeniu, którego redakcja wiele zostawia do życzenia. Pomijam już giermanizmy w rodzaju nużącego używania przymiotników przed rzeczownikami. Ale nie brak też miejs, w których myśl autora jest wprost spaczona. I tak np. na str. 35 „Man kann den Vorwurf... nicht ersparen" przełożono przez „można nie szczędzić zarzutu" (powinno być: „Nie można oszczędzić... zarzutu"); na tejże stronie brak słów: „posunął brak smaku do tego, że..."; na str. 36 czytamy „...pisarze nie uniknęli sprzeczności" (p. b. „...nie przeoczyli sprzeczności"); na str. 37 zamiast „raczej" czytamy „słuszniej", a słowo „osłonek" zastąpiłbym przez „ogródek"; na str. 39 tłumaczy p. J. H. niemieckie „noch lange nicht genügt" przez „nie na długo może zapewnić" (p. b. „bynajmniej nie wystarcza, ażeby zapewnić choćby..."); na str. 40 robi p. J. H. z niemieckiego „unter Umständen" polskie „warunkiem" (p. b. „ewentualnie"); na następnej stronie należy zastąpić słowa: „tym sposobem" przez „dzięki któremu", „danej sfery" przez „ich własnej sfery zarobkowania", „treści" przez „doniosłości", „wyrok" przez „sąd"; na str. 42 należy koniecznie zastąpić zdanie „Filozofja prawa, jak to można było wyprowadzić a priori, jest... odbiciem historycznym przekazanego porządku prawnego" przez: „Filozofja prawa, jakkolwiek apriorycznymi są jej twierdzenia, jest... odbiciem historycznie przekazanego i t. d."; na str. 67 tłumacz odwraca wprost myśl autora, oddając niemieckie „nichts weniger als" przez „jedynie" (p. b.: „Fourier w proponowanym przez siebie ustroju społecznym *bynajmniej nie chce* usunąć dochodu bez pracy; toć on przyznaje wprost i t. d."); na str. 83 zastąpić należy słowa „umiejętność" przez „naukę" (Wissenschaft), „początek" przez „źródło", a „zasad" przez „idei podstawowych"; na str. 98 zdanie „Tutaj chcę omówić tylko wątpliwości"... powinnoby brzmieć dalej: „jakie się nastręczają, jeśli się w myśli przeprowadzi projekty powyższe w ustroju społecznym przy istnieniu w nim nadal własności indywidualnej i t. d."); na str. 101 oddaje tłumacz niemieckie „eigentümlich" przez „im tylko właściwym" (p. b. „szczególnym"); na 111 figuruje niemieckie „Massregeln" jako „reguł" (p. b. „środków"); na 112 zamiast „zapominających" p. b. „zapoznających"; na str. 123 tłumacz cytuje mylnie „pracę polemiczną przeciwko Schulzemu z Delitzsch" w języku niemieckim, niby tytuł dzieła, choć w przypisku autor właściwy tytuł wskazuje; a na str. 124 zastąpić należy słowa „ale to wytworzyłoby jeszcze żywszą walkę".. słowami: „zato rozgorzałaby jeszcze i t. d."; wreszcie pospierałbym się z tłumaczem o jego tłumaczenie niemieckich terminów „Zeitlohn" i „Stücklohn" na str. 167 przez „zarobki w czasie" i „w sztukach" (p. b. „od czasu" i „od sztuki").

Jeśli zadałem sobie ten trud sprawdzenia tłumaczenia z oryginałem niemieckim i wytykam tu dość długi szereg błędów, to czynię to z uwagi na konieczność oddania w ręce czytelników możliwie wiernego tłumaczenia książki, która moim zdaniem w każdym inteligientnym domu na stole być powinna.

D-r N. Pinkus.

LITERATURA i SZTUKA.

Sułkowski—tragiedja przez Stefana Żeromskiego.

Od szeregu lat słowo Żeromskiego rozlega się w Polsce, jak wezwanie rycerskie, jak władny nakaz woli, w powadze i milczeniu, dojrzewającej do bohaterstwa czynu; rozlega się dumnie i twardo: ale jest to duma cierpienia, jest to hart jęku; słowo jego, jak żagiew od męki krzywd dziejowych zapalona, uderza czarem śmiertelnym na dusze; w rękach tego człowieka rozkwita, niby krwawe berło królewskie, tęsknota całego narodu.

Natchnienie Żeromskiego ma w sobie rwący pęd żywiołu: unosi serca w szaloną zawieruchę wyżyn, — a których dźwignąć i poruszyć nie może, druzgocze hańbą. Gdy przybywa zapóźno, ażeby uzdrowić, by ducha wznieść z bezwładu, — razi przekleństwem. Przed każdym z nas staje w pewnej chwili słowo jego, jako zwiastun odrodzenia lub śmierci; posiada moc i tęgość spiżu, a bije z wysoka, jak piorun.

„Bezdomni" a potym „Popioły" i „Walgierz Udały" aż do „Bandosa" i „Dumy o Hetmanie" — wszystkie te utwory sięgają do najgłębszych podstaw bytu zbiorowego; sięgają dna zbiorowej duszy polskiej, a jednocześnie idąc ku nam z wyżyn twórczych, które je zrodziły, niosą ze sobą grozę samotności, oddychają swobodą bezgranicznych przestrzeni.

Niewątpliwie obok Żeromskiego ogół współczesny zna i odczuwa innych autorów: niemniej wszakże Żeromski zajmuje stanowisko osobliwe — jedyne. W nim „mocuje się" sam ze sobą cały naród polski; w sercu jego naród polski śni, tworzy i zdobywa swą wielkość, „własną swoją mocą wydziera ją z nicości, szpadą bierze w zawziętym trudzie", aby potym „narzucić ją zewnętrznemu światu".

On jeden wyrasta ponad literaturę, mija dziedzinę fikcji poetyckich; pism jego niepodobna jest mierzyć miarą wyłącznie estetyczną; niepodobna zawrzeć

ich w kanonach sztuki; każdy twór jego sięga dalej niż myśl, przenika głębiej, niźli uczucie.

Dzieła jego stają się dla nas przeżyciem bezpośrednim, głębokim doświadczeniem osobistym. Wcielają się one w świadomość naszą całym pokładem sił i zasobów twórczych, łączą się z tętnem naszej energji, pozostają w duszy, aby żyć i działać w nas na zawsze.

To też kiedyś, gdy nasza zwichrzona, od sprzeczności podarta, epoka stworzy pewną harmonijną skończoną w sobie syntezę, wpływ Żeromskiego dźwięczeć w niej będzie tonem dobitnym i znamiennym, nietylko jako wyraz i kształt zewnętrzny dla treści gotowej i znanej, ale jako czynnik samoistny, jako doniosła potęga społeczna.

Nie znaczy to, aby ogół chłonął dziś oddziaływania jego biernie, ślepo, bezopornie. Przeciwnie nikt w literaturze współczesnej nie spiętrzył wokół imienia swego i pracy takiej góry zarzutów, nikt nie rozpętał przeciw sobie takiej burzy klątw, skarg, ubolewań i niechęci. Nawet w kołach najżarliwszych zwolenników swego talentu Żeromski każdym utworem, każdym niemal pomysłem artystycznym lub ideowym, obok upojenia pięknem, wywoływał tajony gdzieś na dnie duszy protest, niepokój i trwogę; niecił rozdwojenie i walkę; zda się, jakoby okrzyk życia, urwany nad krawędzią istnienia, odbijał się echem ponurym w nicościach zatraty. Każdy stworzony przezeń dramat kończył się w sumieniu czytelnika akordem złowieszczym, ciosem niepewności, wstrząśnieniem duszy rozdartej między nadzieją a lękiem, między porywem snów a zgrozą urzeczywistnienia.

Czy pamiętacie w „Dziejach grzechu" ostatni uśmiech Ewy Pobratymskiej, kiedy poprzez ohydę okrucieństwa i zbrodni wraca ku niej echo lat dziewczęcych, ten uśmiech szczęścia i boskiej radości na ustach, z którym umarła, szukając w mrokach śmierci ziszczenia swej złudy? Pamiętacie w „Bezdomnych" ową strzaskaną od pioruna sosnę, samotnie wyrosłą na bezdrożu wysileń ludzkich? Pamiętacie gasnące w rozpaczy i zniechęceniu oczy hetmańskie Żółkiewskiego?

Zapomnieć ich niepodobna. Wświecają się w duszę, jak widmo potępienia i zagłady społecznej. Ale byłożby potępienie owo jedyną odpowiedzią na wysiłki narodu? Otóż z tym czytelnik pogodzić się nie chce: stąd jego troska, jego niepokój, chęć przezwyciężenia nicości, żądza pełni życia, żądza odwetu. Stąd też rodzi się owo poczucie zawodu, goryczy i rozczarowania, jakie najpotężniejsze kreacje Żeromskiego rzucają cieniem fatalnym w głąb duszy. Czytelnik wierzyć nie chce, ażeby słowo ostateczne o życiu, słowo nad grobem wysiłku, wypowiadał upiór nicości. Chce on przekonać siebie, że autor nie doprowadza sprawy do końca, że urywa wpół słowa, z jękiem łamiąc narzędzie pieśni, że to pieśń tylko została nieskończona, ale życie żałobę jęku rozsadza, — idzie dalej niewstrzymane, i mocą rzeczywistości zwycięża.

Żaden z dotychczasowych utworów Żeromskiego nie dał zadowolenia wszechstronnego czytelnikom; żaden nie dał wrażenia harmonji i doskonałości; każdy z nich witano z zapałem tęsknoty, a zamykano z dreszczem i wewnętrznym załamaniem się w sercu, jakgdyby autor nie dotrzymał tajemnej obietnicy, nie dopełnił zbawczego przyrzeczenia.

A jednak rzecz dziwna! zapał nasz i tęsknoty tylokrotnie zawiedzione nie gasną ani się wyczerpują: dalekie przesilenia, potężnieją coraz z każdym nowym rapsodem, powieścią lub dramatem, obejmując coraz szerszą skalę zaciekawień, coraz głębszą sferę wzruszeń, myśli, przeczuć i skojarzeń.

Są pisarze i poeci, wybitnym obdarzeni talentem, których w działalności twórczej ani razu nie zawiodło pióro, którym nic wytknąć nie może krytyka zawodowców, a jednak nie oczekujemy od nich rzeczy nowych i coraz wyższych. Szanujemy dzieła ich skoro powstały, ale gdybyśmy ich nie mieli, niebyłoby tęsknoty za nimi, nie doświadczamy bowiem konieczności ich istnienia. Są ornamentem życia, nie zaś jego funkcją.

Tymczasem Żeromski nie stworzył ani jednego arcydzieła, w klasycznym tego słowa pojęciu, ani jednej kompozycji doskonałej lub choćby tylko skończonej; w każdej wskazać możemy skazy i ułomności, każda sprawia, w analizie ostatecznej, zawód i rozczarowanie, a przecież po każdym zawodzie, po każdej sprawionej przezeń rozterce, tęsknoty nasze olbrzymieją, żądania rosną bezgranicznie. Na czym więc wspierają się owe żądania, skoro w poszczególnych utworach nie znajdują usprawiedliwienia?

Na czym?

Opierać się one mogą, oczywiście, tylko na dynamice twórczej jego talentu Są projekcją uczuciową stawionych przezeń problematów. Nie rozwiązanie bowiem zagadnień stanowi dziedzinę twórczą Żeromskiego, ale ich nastręczanie światu, prześwietlanie zapomocą nich sumienia ludzi i narodów.

Ze stanowiska tego, skala żądań i oczekiwań, jaką wiążemy z każdym aktem twórczym Żeromskiego, stają się najdokładniejszą miarą jego gienjuszu.

Wielkość i siła Żeromskiego — to wielkość naszych nadziei i żądań, tkwiąca w ogromie poruszonych przezeń zagadnień, w doniosłości podjętych przez niego tematów. On stał się wodzem tęsknot całego pokolenia. Poezja jego, w spuściźnie po wielkich Twórcach Nieśmiertelności, otrzymała dar wieszczy, pierwiastek wnętrznych przeniknięć.

Żar natchnień jego odbija się łuną niezmierną na niebie serc całej Polski.

* * *

I w łunach owej tęsknoty krwawiącego serca, pod niebem bezwładnej, ujarzmionej rozpaczy rozgrywa się dramat ostatni Żeromskiego—„tragiedja o księciu Sułkowskim", nieprzedawniona tragiedja — popiołów. Ponad zgliszcza i gruzy, nad polami opuszczenia i klęski snują się bezduszne mary Cheronei. W twardej pokutnej włosiennicy, z głową pokrytą gorącym popiołem, powstaje, nagle wywołany, duch dawno zamarłej epoki.

„Leży w łykach naród nasz powalony", — woła do żołnierzy — rodaków Sułkowski. — „Nie poradziła nic, nie powiedziała nic krew nieustraszonych z pod Dubienki... Nie było nikogo, żeby się porwał na złotą podłość. 50 tysięcy walecznego żołnierza pod bronią na własnej swojej ziemi, wśród swego ludu, nie stoczywszy walnej batalji, martwymi oczami patrzało na zagładę wolności. Martwymi oczami patrzał lud na żołnierzy. Obojętnym słowem witał wrogów wchodzących".

— „A ja sam, który wam to mówię, byłem tam, patrzałem na wszystko. Nie potrafiłem wyrwać szpady, nie umiałem uczynić nic takiego, żeby armię podnieść, żeby naród z niewoli i hańby wydźwignąć. Uszedłem..." Odtąd stał się, uszedłszy z kraju, bojownikiem Rewolucji Francuskiej, pola bitew o wolność stały się jego ojczyzną. Stanął w szeregach armji Bonapartego, aby się uczyć gienjuszu tego człowieka, od pierwszej chwili, w której go zobaczył, aby się uczyć gienjuszu, jak wojny. Szedł za nim jak cień, ażeby posiąść sztukę jego decyzji, szybkiej jak błysk piorunu:

— „Jeżeli tego sekretu zapomocą nauki, przebiegłości i skupionej pracy nie poznam, mój naród uśnie w jarzmie i godzien się stanie swojego losu."

— „Kto nie ma sił i środków, ażeby natychmiast odnieść zwycięztwo... winien się nieustannie ćwiczyć we wszystkim, coby czynił, gdyby był wolny. Kto chce kiedyś pokonać wroga, musi się dziś uczyć sztuki być wolnym w duchu. Każdy człowiek i każdy naród musi naprzód uwierzyć w siłę swej duszy

i w niezłomne jej prawa, a następnie ćwiczyć w sobie żądzę wolności i wytępiać zarazę niewolnictwa".

— „Trzeba rozrywać rany polskie, aby się nie zabliźniły podłością!"

Sułkowski idzie z Bonapartem do Egiptu, ale dusza jego rwie się wszystkimi siłami na północ, na ratunek ojczyźnie:

„Ciężkie prace łamią mi duszę. a żyję sam jeden... Czeka na mnie moja ziemia i po nocach we mnie płacze. Ogrom trudów nienapoczętych tam, jak nieruszona na wiosnę rola. Wstrzymał się obieg krwi i zacicha bicie serca tego ludu... A ja odchodzę daleko..."

— Daleko! ale może tam, na najdalszej drodze, zobaczę śród trudu, w jasnowidzeniu plan mojej kampanji! U podnóża piramid napiszę konstytucję, powołam w duchu do obrony wszystkich synów ojczyzny, — bez różnicy stanu i pochodzenia, — ludzi od pługa, żywicieli kraju wyrwę z jarzma, pokruszę pręgierze, stojące po wsiach mojego świata, narzucę surowy porządek, zasady republikanckie, zasieję rolę nowym zbożem".

— „Ale ktoby się chciał na takie rzeczy ważyć, musiałby się urodzić na kata" — wzdycha z pęt ucisku jęk miljonowy ludu, zakutego w pańszczyznę — „bo twarde serce jest w polskich panach, bo zdrada zawżdy nami rządziła".

— „A okropna to rzecz—swoją przelewać krew, bez przelania zasię krwi, jakże statek wywrócić do góry dnem?" Wyrasta złowieszcze pytanie być albo nie być! Chwila straszliwej wątpliwości:

„Czy ja mam za was wszystkich siłę, niewolnicy? Czy ja mam serce z żelaza, oczy bez łez, czy ja potrafię przechodzić wzgórza obcych i swoich trupów, zapatrzony w jeden jedyny cel?"

Czy jednakże walka bratobójcza jest koniecznym, klątewnym progiem wolności? Wszak „nie podnosił u nas brat na brata ręki. Umieliśmy jednym głosem stanowić prawo. Może skoro przyjdziemy z orężem w dłoni na naszą ziemię, nie będzie potrzeba, żeby brat ucinał bratu głowę, i nurzał ręce we krwi, jak to uczynił francuski lud, żeby wyrwać z siebie wielką moc. Może na nasz radosny głos, od połysku naszych bagnetów — roztworzy się radosne serce braterskie. Może Polska stanie się jedynym Jeruzalem świata, gdzie nie przez gwałt, lecz przez miłość pełni się sprawiedliwość".

Na piaskach pustyni egipskiej, w trudzie nadludzkich niebezpieczeństw Sułkowski wolą i gienjuszem dorasta wyżyn swego przeznaczenia. Nie odstępuje go myśl o Polsce ani na chwilę. Kiedy ciężko ranny, zrąbany w zaciekłej bitwie, leżąc na piasku pod Piramidami, wracał do życia z państwa ciemności, zaśmiał się do piramid i pytał ich oczami o sąd... Miał prawo zawładnąć legiendami Egiptu; wszak był sam wskrzesicielem bogów i legiend. „Na twardym brusie duszy sumiennie teraz ostrzył szablę do okrutnego czynu, do walki o Polskę". W nicość zepchnął szczęście osobiste, w ślepym milczeniu pogrzebał miłość, odtrącił radość i ponętę rozkoszy. Serce jego, jak w ognistym pancerzu, w jednej zamknęło się żądzy. Nad czołem, jak złoty hełm, świeciła mu myśl złota!...

Ale oto fantazja poety dobiega już kresu; wkracza w tym miejscu na scenę marzenia surowa rzeczywistość: w przędzę uczuć uderza piorun historji!

Sułkowski ginie.

Ginie wraz z nim złota jego myśl, kruszy się jego żelazny zamiar. Bez śladu w żółty piasek wsiąka krew żołnierza. W ostatnim drgnieniu serca, stygnącego śród rozwartej piersi, ozwie się jęk ziemi rodzonej, — i na wieki ścichnie. Szloch ziemi polskiej w skazańczej piersi rycerza i bohatera! Jęk okropny, ale tak cichy i głęboki, tak zgubiony w przestrzeni i stracony w czasie, że nie dosłyszała go historja.

Z ciemnicy dziejów dobył go poeta, wysłuchał go z grobu milczenia, wziął w pierś własną, ożywił krwią i tchem gienjuszu, zapalił błyskawicą gniewu...

„Tragiedja" Żeromskiego — to wysłuchany ów bolesny płacz wdowi ziemi ojczystej nad zwłokami rycerza. Zrodziła się ona, jak duch urwany, z płaczu serca broczącego od ran w ostatniej, śmiertelnej godzinie.

* * *

I oto znowu rozegrał się dramat „Bezdomnych", przesunęła się piekielna noc Cecory, jakoby ukazując nowe widziadło gorączkowej wyobraźni Hetmana, w przeddzień straszliwego zgonu.

Fala marzeń wzniosła się wysoko, aż do progu niebios, aby nagle runąć odrazu na samo dno czeluści, w mrok hańby i zagłady. I znowu duch, owładnięty zgrozą, bezsilnie zmaga się z losem, i pyta sam siebie, nie śmiejąc pytać przeznaczenia, czy klęska „Wielkości" jest powszechną i ostatnią prawdą? Zali naprawdę bóg „śmieje się z woli samotnego człowieka?" Stając na rubieży zwątpienia, w którą przychylimy się stronę? W wielkim starciu marzenia z rzeczywistością komu przyznamy słuszność? Kogo obarczymy klątwą? Czy potępimy poetę za kłamliwość czarownego piękna, za książęcą dumę fantazji, czy też przeklniemy życie za jego okrutną rzeczywistość? Wszelako, któż rozstrzygnie, czy okrutność życia nie tkwi dla ludzkości właśnie w żywiole marzeń i porywów, w konieczności dążenia, w nakazach rozwoju i walki, czy, słowem, groza rzeczywistości nie jest refleksem, rzucanym przez kontrast marzenia?

Jeśli tak, to podstawa kryterjów wprost biegunowo się odwróci: to, co zwiemy realnością życia, opór środowiska, przemoc siły fizycznej i materji, stanie się wtenczas złudą, stanie się wtedy urojeniem zniechęconej woli, maską na obliczu — rezygnacji.

Ilekroć zarzucamy Żeromskiemu pesymizm, nieuleczalny smutek, albo „poprostu dekadentyzm", ilekroć oskarżamy go o demoralizację energji narodowej, zwracając przeciw niemu wszelkie wyrzuty i skargi, do jakich zdolna jest bezradna słabość jednostki pomnożona przez słabość całego narodu, naprzód zastanówmy się raczej nad tym, czy ułomności i niedobory dzieł jego nie są odbiciem atmosfery społecznej, poprzez którą je oglądamy? Czy nie dlatego zdają się nam posępne i mroczne, że patrzymy na nie pośród ciemni wilgotnego lochu wegetacji, miast je oglądać w słonecznym światłokręgu czynów, czynów śmiałych i płodnych? Zawieszeni między tęczą marzeń a męką trudów bezowocnych, żalimy się doli swej, złorzecząc naprzemian zaporom, które nas wstrzymują, to znów blaskom tęczy, która nas wzywa i zmusza iść. Między twórczością poetów a prozą życia rozpościera się niczym niezapełniona próżnia. Życie zadaje kłam aspiracjom poezji; wysiłki sprostać nie mogą nakazom ideału. Kierunek działań rozmija się z kierunkiem myślenia i czucia. Otóż, ten, kto działa inaczej niż myśli — powiada Guyau — myśli w sposób niezupełny. Zasada ta, słuszna w zastosowaniu do jednostki indywidualnej, rozciągnięta być może i na jednostkę zbiorową — społeczeństwo. W społeczeństwie zaś ogniskiem świadomości jest literatura; w niej znajduje wyraz zbiorowa myśl narodu. Z tą więc myślą zbiorową, społeczną, zgadzać się powinny czyny społeczne. Jeśli tej zgody niema, jeżeli naród działa w życiu inaczej, niż myśli w swej literaturze, myśli on w sposób niezupełny, literatura jego jest niezupełna; ideały, piastowane przez nią, tracą prawdę wewnętrzną i całkowitość. Bowiem prawda ideałów polega na woli społecznej ku wcielaniu ich w życie. Być może tedy, że zarzuty stawiane wielekroć poezji, właściwiej należałoby zwrócić przeciwko realnemu życiu. Prawdą poezji, być może, jest tylko szczerość i potęga czynu.

W. Rzymowski.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Lubelski *Kurjer* zamieścił ostatnio wyborny „Mały feljeton", z którego przytaczamy następujący wyimek:

Podług obliczeń dziennikarskich zjechało się na koronacje około 600,000 pątników do Częstochowy. Przyjąwszy koszt pobytu wraz z przejazdem w przecięciu po rubli dziesięć na jedną osobę, otrzymamy cyfrę 6 miljonów, jako przypuszczalną sumę wydatków mieszkańców Królestwa na uroczystości koronacyjne.

Suma to pokaźna i świadczyłaby o wielkim bogactwie kraju, gdyby znany badacz dewocji Delonay — nie był dowiódł, iż liczba modlących się w kościele jest odwrotnie proporcjonalną do ilości ludzi sytych w danym społeczeństwie. W tym świetle byłaby ona zaś przerażającą. Bo pomyślmy przecież wydatek ten, wydatek na jedną manifestację — wynosi około 70,000 na każdy powiat — to jest odpowiada sumie kosztów na conajmniej 20 budynków szkó ludowych w każdym powiecie. Powiedzą nam, że to jest sprawa narodowa i naród może sobie pozwolić na taki luksus.

Odpowiadamy, że tak nie jest, gdyż jeśli porównamy cyfry, że na głos Kościuszki stanęło pod Racławicami 4 tysięce — a na głos biskupa Zdzitowieckiego 600,000 w Częstochowie, to z tego wynika, iż stosunek elementu narodowego do religijnego jest u nas jak 1 : 160. Nie zapominajmy także iż w roku 1772 posiadaliśmy 8 tysięcy wojska a 200,000 mnichów i księży, czyli, że 25 księży modliło się za pomyślność broni jednego żołnierza. Los naszego kraju byłby zaiste innym, gdyby stosunek był odwrotny t j. gdyby jeden ksiądz modlił się za pomyślność 25 żołnierzy.

Okazuje sią, że i dzisiaj ten potworny stosunek trwa w dalszym ciągu i że 25 kościołów modli się za pomyślność jednej szkoły — zamiast żeby 25 szkół przygotowywało dusze i umysły dla jednego kościoła.

Autor tego feljetonu wypisał w nagłówku: *Nieco cyfr według metody Bolesława Prusa.* Wątpliwości nie ulega, że dawny, ukochany przez nas Prus — pozytywista podpisałby się obu rękami pod tym feljetonikiem, podczas gdy dzisiejszy Prus... Lecz uszanujmy tragiedję starości.

* W rubryce *Na Dobie* przytoczyliśmy część wyjaśnienia, rozesłanego do pism polskich w sprawie pogrzebu Elizy Orzeszkowej. Wyjaśnienie to zawiera (punkt 4) ustęp, który podajemy w całości:

Imieniem gminy żydowskiej m. Grodna oraz żydowskiego Towarzystwa literatów, przemawiał nad grobem d-r Szapiro. Mowa ta miała być powtórzona w języku hebrajskim (jak się potym okazało) przez p. Jaffego. Ponieważ jednak do ostatniej chwili na liście mówców p. Jaffe nie figurował i do komitetu się nie zgłaszał, przeto ze względów formalnych mowa ta wygłoszona być nie mogła. Nie zaważył w tym przypadku wpływ mecenasa Kijeńskiego, ani osób innych, dla tej przyczyny: 1-o) wpływów takich na komitet wcale nie było; a 2-o) gdyby komitet po dokładnym rozważaniu danej kwestji, powziął pewną uchwałę, to oddziaływanie osób innych, tymbardziej zaś w ostatniej chwili nie mogłoby jej zmienić.

W sprawie tego zajścia, jak sobie czytelnicy nasi przypominają, zajęliśmy stanowisko krytyczne względem komitetu, który niepotrzebną formalistyką i zbytecznym rygorem naraził na szwank nastrój podniosłej chwili. Stanowisko nasze błędnie i zbyt pohopnie wytłumaczono sobie w prasie żargonowej, jako „początek nowego kursu" w sprawie żydowskiej. Nie mamy potrzeby nalegać na to, że stanowisko nasze żadnej nie uległo zmianie. Wierząc w niezmożone siły i żywotność kultury polskiej, jesteśmy tym samym rzecznikami asymilacji mas żydowskich, co nie przeszkadza nam protestować przeciwko objawom nacjonalizmu polskiego w formie szkodliwych i jątrzących zakazów, szykan i t. d.

Wobec powyższego wyjaśnienia komitetu oraz notatki, rozesłanej poprzednio (por. *Kronikę* w ost. Nr. *Prawdy*) uznać trzeba Komitet za zupełnie wytłumaczony.

* *Izraelita* (Nr. 7) ogłasza dalszy ciąg ciekawych uchwał warszawskiego zjazdu rabinów. Punkt VI rzeczonych uchwał traktuje *o środkach zaradczych w sprawie wychowania młodzieży.* Kler żydowski spostrzegł bowiem, że „młodzież w ostatnich czasach nietylko uchyla się od wykonywania przepisów religji, lecz przeczy nawet bezspornym zasadom ludzkiego współżycia (*sic.*) Wobec tego zjazd rabinów kreśli poniższe środki zaradcze, celem usunięcia niepożądanych zjawisk w dziedzinie wychowania młodzieży:

1) Określenie stosunku rabinów do mełamedów.

Nadzór nad działalnością mełamedów, prywatnych nauczycieli religji żydowskiej i języka hebrajskiego, wchodzi w zakres obowiązków rabina. (Prawo 1 marca 1893 r.) Atoli rabin pozbawiony jest możności nadania temu nadzorowi — wartości istotnej, ponieważ niema prawa usuwania mełamedów, niepewnych pod względem moralnym, lub niespełniających swych obowiązków. Zjazd rabinów sądzi przeto, że byłoby bezwarunkowo rzeczą konieczną nadanie w tym kierunku rabinowi odpowiedniego pełnomocnictwa.

W tym celu należałoby uchwalić: 1) że rabini do świadectw, wydawanych mełamedom o znajomości przedmiotów religji żydowskiej, włączają zaświadczenie o moralnej prawomyślności mełamedów; 2) że świadectwa te powinny być odnawiane co 3 lata, celem stwierdzenia braku ze strony rabina przeszkód pod względem moralnym do sprawowania nadal obowiązków przez samego mełameda, i 3) że, w razie nieotrzymania takiego świadectwa od rabina, mełamed pozbawiony zostaje prawa zajmowania się nauczaniem dzieci żydowskich.

3) Wycofanie z obiegu niemoralnych i pornograficznych książek i broszur w języku żydowskim.

4) Udzielenie rabinom pozwolenia na wskazywanie w kazaniach, jakie książki i broszury są niedozwolone z punktu widzenia religijno-moralnego.

Mutatis mutandis mamy to samo w ostatniej encyklice i orędziu papieskim, oraz w dekrecie *św Kongregacji Konsystorjalnej* z d. 31 grudnia 1909, który to dekret nakazuje klerowi wdrożyć w podległym sobie środowisku rodzaj wzmocnionej *ochrany* (Por. *Prawda* Nr. 11). Analogja jest uderzająca, jeśli zestawimy § 4 przytoczonych uchwał z § 12 dekretu, który traktuje *O wykształceniu i wychowaniu młodzieży* w formie następującej ankiety: „Czy istnieją szkoły nieznane (? *tajne* ?). Ujemne strony tego i środki zaradcze. Szkoły wolne. Czy chłopcy i dziewczęta są zmuszeni (*sic*) do uczęszczania do szkół elementarnych publicznych? *W razie ich szkodliwości co się czyni, aby uchronić młodzież od zepsucia i demoralizacji* (!) To samo co do szkół średnich i wyższych" (Por. *Goniec Wieczorny* Nr. 105).

Odtąd rzewne zaiste pobratymstwo złączy zakrystję z kahałem. I wróg ten sam i środki te same. I biorąc do ręki nowy jaki „dokument XX wieku" w rodzaju wyżej cytowanych, trudno będzie odróżnić wypracowanie kardynałów rzymskich od rabinicznych elukubracji zjazdu przy ul. Gnojnej. Wypadnie chyba powiedzieć, jak Heine w zakończeniu słynnej „Dysputy", — *jednako cuchną.*

Z prasy rosyjskiej.

* Ks. Eug. Trubeckoj w wydawanym przez się tygodniku (*Mosk. Jeżenied.*) scharakteryzowawszy pokrótce nacjonalizm rosyjski typu Mienszykową, przychodzi do takich konkluzji:

„Jeśli stosunek nasz do „inorodców" będzie istotnie taki, jakim chce go widzić nasz nacjonalizm, to skazani jesteśmy na rychłą i niechybną zagładę... Bo przedewszystkim w nacjonalizmie Gringmutów, Gurlandów i Szwanebachów niemasz nic rosyjskiego. Od początku do końca jest to kiepski przekład z niemieckiego. Weszło już u nas we zwyczaj kopjować stosunek nasz do „inorodców" z giermańskich wzorów; zapomina się przytym o jednej bagatelce: w porównaniu z Rosją liczba inorodców w Niemczech jest nieznaczna, wskutek czego mogą marzyć Niemcy o giermanizacji swoich kresów. W naszych warunkach podobne marzenie jest szaleństwem i zbrodnią przeciwko rosyjskiemu narodowi, bo może mieć ona jeden tylko możliwy skutek — *rozbiór Cesarstwa*".

Ten pesymistyczny a słuszny wniosek powtarza się ostatnimi czasy coraz częściej i to w rozmaitych sferach rosyjskich, przyczym niektórzy zaopatrują go w przysłowie łacińskie: *quos deus perdere vult — dementat prius.*

KRONIKA.

WZNOWIENIE BUDOWY III-GO MOSTU. Budowa wiaduktu do III mostu weszła w nową fazę: z rozporządzenia władz ministerjalnych magistrat m. Warszawy upoważniony został do udzielenia komitetowi bodowy mostu pożyczki w kwocie 2 miljonów rubli, które — według orzeczenia komisji budowy mostu — mają starczyć na wykończenie wszystkich robót, związanych z budową III mostu.

KONKURS NA PODRĘCZNIK. Komisja współdzielcza przy Oddziale Warszawskim Towarzystwa popierania przemysłu i handlu — ogłasza konkurs na:

Podręcznik dla stowarzyszeń kredytu drobnego: istniejących na mocy prawa z r. 1904.

Podręcznik obejmować winien:

1. Krótki wstęp o stanowisku Stowarzyszeń kredytowych w ekonomji politycznej i krótki rys rozwoju ich w Europie i na ziemiach polskich. Wstęp ten może się składać z jednego lub kilku artykułów treści właściwej założeniu.

2. Jakie instytucje w Królestwie Polskim podlegają ustawie z r. 1904 o stowarzyszeniach kredytu drobnego — z krótkim wykładem ich zasad.

3. Praktyczne wskazówki w jaki sposób należy się starać o pozwolenie na otwarcie instytucji takich, oraz wzór podania z oznaczeniem tych zmian, jakie ze względu na różnicę prawa cywilnego w Królestwie, lub na warunki miejscowe, należy poczynić w ustawie normalnej.

4. Dokładny opis praktyczny czynności jakich stowarzyszenia mają dokonywać na mocy ustawy w porządku rozwojowym, poczynając od przystąpienia do Towarzystwa, z wzorami protokułów ogólnego zgromadzenia zawiązującego Stowarzyszenie i wybór władz jego, z wzorami wszelkich następnych czynności, deklaracji przyznawania kredytów i t. d. z wzorami ksiąg oraz wskazówek w jaki sposób je prowadzić, kontrolować, sporządzać bilans i t. d. — odezw do władz — w ten sposób, aby osoby średnio inteligientne przy takim podręczniku, bez pomocy specjalnego buchaltera i kasjera — Towarzystwo prowadzić mogły.

5. Ustawę o kredycie drobnym z d. 7/20 czerwca r. 1904 i Ustawę normalną stowarzyszeń pożyczkowo-oszczędnościowych i kredytowych drobnych w poprawnym tłomaczeniu.

Podręcznik może być zarówno pracą jednej osoby, jak i pracą zbiorową kilku osób.

Termin nadsyłania prac konkursowych oznacza się do dnia 25 listopada r. 1910 — pod adresem Komisji współdzielczej — Chmielna 13 w Warszawie.

Do rękopisu opatrzonego jakimś godłem lub sentencją (bez wskazania autora) należy dołączyć kopertę zamkniętą, zaopatrzoną takimże godłem lub sentencją — a w kopercie tej wskazanie nazwiska autora i jego adresu.

Sędziami konkursu będą członkowie Prezydjum Komisji współdzielczej i trzy powołane przez nią osoby,z pośród pracujących w stowarzyszeniach kredytu drobnego. Decyzja zapadnie na specjalnym posiedzeniu Komisji większością głosów.

Nagroda ustanawia się w ilości rubli 600 za pracę uznaną przez sędziów za najlepszą.

Pracę nagrodzoną wyda kosztem swoim Komisja współdzielcza, czy to w formie złożonej pierwotnie przez autora, czy też ze zmianami ze strony Komisji wprowadzonymi za zgodą autora; pierwsze wydanie w 1500 egzemplarzach będzie własnością Komisji; autor nowy nakład wydać może swoim kosztem dopiero po wyczerpaniu pierwszego i w cenie nie droższej od wydania pierwszego. Cenę wydania pierwszego, ustanowi Komisja współdzielcza.

ANKIETA ROBOTNICZA. Amerykański urząd pracy za pośrednictwem konsulatu zwrócił się do związków zawodowych robotniczych, istniejących w Warszawie, z prośbą o wyrażenie opinji o projekcie nowego prawa rosyjskiego o „Wynagrodzeniu robotników za nieszczęśliwe wypadki". Ankieta zawiera 8 pytań, a więc: Jaka jest ogólna opinja co do skuteczności prawa? Czy odszkodowanie jest niedostateczne, czy wystarczające? Czy odszkodowania są regulowane dość szybko? Czy orzeczenia co do niezdolności do pracy zadawalają strony zainteresowane? Czy prawo wpływa na zwiększenie ostrożności i zastosowanie środków zapobiegawczych? Czy racjonalniejsza jest emerytura, czy „jednorazówka"? Czy prawo wykazuje tendencję ograniczeń przy przyjmowaniu starszych robotników, lub obarczonych rodziną? Jakie zmiany są pożądane?

KOMITET WYSTAWY MIAST-OGRODÓW i przyrodniczej zawiadamia, że otwarcie odbyło się w dniu 5 czerwca w Bagateli.

TOWARZYSTWO OPIEKI NAD WYCHODŹCAMI zwraca się do nas z prośbą o przedrukowanie następującej odezwy: Zwiększająca zię z roku na rok emigracja sezonowa, (przeważnie do Prus) i zaoceanowa, wyrażająca się dziś już w olbrzymiej cyfrze 600,000 dla ziem polskich, z czego blizko 400,000 wychodźców przypada na Królestwo, jest zjawiskiem, z którym społeczeństwo nasze rachować się musi.

Te setki tysięcy ludzi idą przeważnie na oślep, nawet nie w kierunku interesu własnego, lecz li tylko w kierunku interesu materjalnego, większej lub mniejszej prowizji nieodpowiedzialnych przed nikim, ciemnych agientów. Wyzyskiwani i oszukiwani na każdym kroku swej drogi ciernistej, wychodźcy nasi idą w świat za chlebem, bo muszą, i dobijają do celu polepszenia bytu jedynie przypadkowo, drogą największych i bezużytecznych nieraz wysiłków.

Te ruchy ekonomiczne i zarobkowe naszych warstw ludowych trzeba koniecznie uregulować; trzeba to uczynić w ich własnym interesie, w interesie całego społeczeństwa, w imię najogólniejszego interesu narodowego.

W dziedzinie emigracji w państwach i krajach ościennych współdziałają rządy i społeczeństwa. Skuteczną opiekę nad wychodźcami roztaczają konsulaty zagraniczne; pośrednictwem w wyszukiwaniu pracy zajmują się instytucje samorządne, a szereg osobnych stowarzyszeń spieszy im z pomocą, opieką, informacją, ułatwieniem powrotu.

Na ziemiach polskich to pole pracy zupełnie dotąd leżało odłogiem. Dopiero przed dwoma laty, w Galicji, rozpoczęto pracę na zaniedbanej niwie, powołując do życia Polskie Towarzystwo Emigracyjne; od paru tygo-

dni istnieje i w Królestwie instytucja podobna, Towarzystwo opieki nad wychodźcami.

Najogólniejszym jego zadaniem jest uregulowanie wychodźtwa, dążenie do zapanowania nad ruchem, aby nim potym kierować, czyli prowadzić politykę emigracyjną. To zadanie ogólne rozbija się na kilka poszczególnych. Więc, w zakresie ruchu wewnętrznego, przechodzenia robotników rolnych z jednej okolicy kraju do drugiej — informacja o podaży i popycie rąk roboczych, warunkach płacy w różnych okolicach, zaspokojenie potrzeb krajowych i zawieranie kontraktów. W zakresie wychodźtwa sezonowego zagranicę — również informacja o płacy zarobnej i pośrednictwo w zawieraniu kontraktów, wyszukiwanie nowych pól pracy, usiłowanie powiększenia zarobków przez skoncentrowanie wychodźtwa i zawieranie kontraktów masowych, uzyskanie lepszego traktowania robotnika polskiego zagranicą, wreszcie moralna opieka nad wychodźcami, W zakresie wychodźtwa zaoceanowego — informacja o wysokości zarobków w różnych gałęziach pracy oraz kosztach utrzymania w różnych miejscowościach wreszcie o stanie rynków i zmiennych warunkach ekonomicznych, otoczenie wychodźców opieką, pomoc w uzyskaniu kart okrętowych na statkach tych kompanji przewozowych, które emigrantom naszym zapewnią możliwie najlepsze warunki przejazdu, w uzyskiwaniu paszportów, w ułatwianiu powrotu. Wreszcie w zakresie osadnictwa — przeciwdziałanie zapomocą dokładnych wiadomości spekulacjom gruntowym, rozsiewaniu przesadnych wieści o pomyślności zamorskiej, i — znowu opieka i pomoc.

Przechodząc z kolei do sposobów wykonania tych olbrzymich zadań, które stawia sobie Towarzystwo opieki nad wychodźcami, zaznaczyć trzeba, że nie jest ono instytucją filantropijną.

Koszta, wynikające z wykonania jego zadań, zamierza pokrywać z umiarkowanych opłat za pośrednictwo. Z drugiej strony nie jest także instytucją finansową; przewyżka dochodów nad rozchodami może być używana jedynie na wykonanie zadań Towarzystwa, a żadne dywidendy członkom wydawane być nie mogą.

Jeżeli jednak w przyszłości Towarzystwo nasze będzie mogło stanąć i rozwijać się o własnych siłach, dziś, na początek, kiedy czekają nas wysokie koszty zbierania informacji, organizacji biura i t. d. możemy i musimy tylko liczyć na składki członków, jako na podstawę istnienia. W prostym stosunku do popularności, jaką zyska Towarzystwo w najszerszych sferach naszego społeczeństwa, stoi szybki jego rozwój, a, co za tym idzie, zaspokojenie pilnej potrzeby społecznej. A znaczna ilość członków potrzebna nam jest nietylko jako podstawa materjalna naszej działalności, ale i jako wyraz zainteresowania i czynnej pomocy, jaką przy wykonywaniu zadań naszych znaleźć koniecznie musimy.

Wiemy dobrze, jak trudno dziś o grosz na cele publiczne, jak ofiarność społeczeństwa zmalała, jak dużo jest pierwszorzędnych potrzeb. Jeżeli jednak nie cofamy się od rozpoczęcia trudnej pracy, to czynimy to w przekonaniu, że na jednorazowy datek, chociażby wiekszy, każdego stać będzie, gdy pomyśli, że emigruje corocznie tylko do Ameryki lwia część przyrostu ludności polskiej, że emigruje młodzież, a więc najlepsze i najsilniejsze jednostki, że dziewczęta w olbrzymiej liczbie giną dla braku opieki, gdy chociażby z dalszego, rzadszego zetknięcia się z ruchem wychodźczym przekona się o tym bezmiarze nędzy i niedoli, jaka jest jego udziałem.

Życie codzienne przynosi nam w różnych dziedzinach szeregi faktów niekorzystnych, którym tylko przypatrywać się możemy, nie mogąc im przeciwdziałać. Biernymi świadkami jesteśmy zdarzeń, które nam w samo serce godzą. Niechże chociaż w jednej, pierwszorzędnej sprawie krajowej, w sprawie wychodźtwa, w której jeszcze coś pomódz i zdziałać możemy, miejsce bierności zastąpi czyn, mocne poparcie celów, zadań i pracy Towarzystwa Opieki nad wychodźcami.

Zarząd Towarzystwa Opieki nad wychodźcami:

Prezes: Henryk Dembiński.

Wice-Prezesi: ks. Jan Gnatowski, Ludwik Górski.

Skarbnik: Tadeusz Balicki.

Sekretarze: Wojciech Szukiewicz, Ludwik Włodek.

Członkowie Zarządu: Michał Bojanowski, Jerzy Gościcki, ks. Wojciech Helbich, dr. Stanisław Kozicki, Stanisław Osiecki, Jerzy Skokowski, ks. Adolf Szelążek, Juljusz hr. Tarnowski, Bohdan Wasiutyński.

Członkiem wspierającym Towarzystwa Opieki nad wychodźcami może być każdy, kto złoży conajmniej 100 rb. składki jednorazowej; członkiem rzeczywistym zaś każdy, kto opłaci 5 rb. wpisowego i 6 rb. składki rocznej.

Adres do przysyłania deklaracji i pieniedzy: *Towarzystwo Opieki nad wychodźcami, Warszawa, ul. Erywańska 6.*

W ZWIĄZKU RÓWNOUPRAWNIENIA KOBIET POLSKICH p. Idalja Izdebska mówiła o małżeństwie ze stanowiska etnograficznego. Wychodząc z założenia, iż matryjarchat był podłożem związków rodzinnych w pierwotnej ludzkiej gromadzie, wskazała następnie, jak przewaga mężczyzny na wojnie i łowach dała mu też i przewagę nad dotychczasową panią, wszechwładną dotychczas w namiocie i przy domowym ognisku. W kolei jednak znów wiekowej ewolucji i w miarę uspołecznienia wyższej kultury, mężczyzna zaczyna znów szanować kobietę jako matkę swych dzieci i pożyteczną współpracowniczkę i szuka też nietylko zmysłowych lecz i umysłowych uciech we wspólnym z nią obcowaniu. Dlatego też czeka on i z małżeństwem, aż do czasu nietylko fizycznej ale i umysłowej jej dojrzałości.

WYPOCZYNEK LETNI DLA PRACOWNIC INTELIGIENTNYCH został ułatwiony staraniem Związku równoupraw. kobiet polskich. W Sokołówku bowiem podczas wakacji, przez dwa miesiące urządzone będzie letnisko w lokalu szkolnym, — gdzie za miesięczną opłatą pietnastu rubli trzydzieści letniczek znajdzie wygodne pomieszczenie.

WIECZÓR SŁOWACKIEGO W PARYŻU. Staraniem stowarzyszenia młodzieży polskiej „Filarecja" odbył się w Paryżu uroczysty „Wieczór Słowackiego" pod przewodnictwem Stefana Żeromskiego.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU NA NOWELĘ. Redakcja *Tygodnika „Illustrowanego* przeznaczyła swego czasu rb. 1,000 na nagrody dla autorów za napisanie noweli. Sumę powyższą podzielono między czterech pisarzy w następujący sposób:

Pierwszą nagrodę, w sumię 400 rb., otrzymała nowela p. t. „Godzina, której nie było". Autorka: Zofja Antoninówna.

Drugą nagrodę, sumię 300 rb. przyznano Józefowi Weyssenhoffowi, za nowelę p. t. „Pani Teodora".

Trzecią nagrodę, w sumię 200 rb., otrzymał Zygmunt Bartkiewicz za nowelę p. t. „Żywoty".

Czwartą. w sumie 100 rb., Tadeusz Miciński za nowelę p. t. „Czarnobylskie dęby".

Prócz tego przyznano odznaczenia następujące:

1) Wacław Grubiński za nowelę „Djamonion Bib".
2) Adolf Strzelecki za „Brzask".
3) Piotr Choynowski z Rapperswylu za „Barowską".
4) Edward Słoński za „Na stacji".
5) Adam Grzymała Siedlecki za utwór p. t. „Dla czego zamilkł Peire Vidal?".
6) Jerzy Gąssowski z Dorpatu za „Nieszczęście pana Karola".
7) Władysław Orkan za „Świt".

Nadto sąd konkursowy postanowił odznaczyć utwór p. t. „Wola", który nie zupełnie odpowiadał warunkom konkursu, a wyróżnia się zaletami literackimi. Odznaczenie to ma charakter pozakonkursowy, wobec czego koperty z nazwiskiem autora nie odpieczętowano.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie **rb. 10.**

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po **kop. 20** w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.